

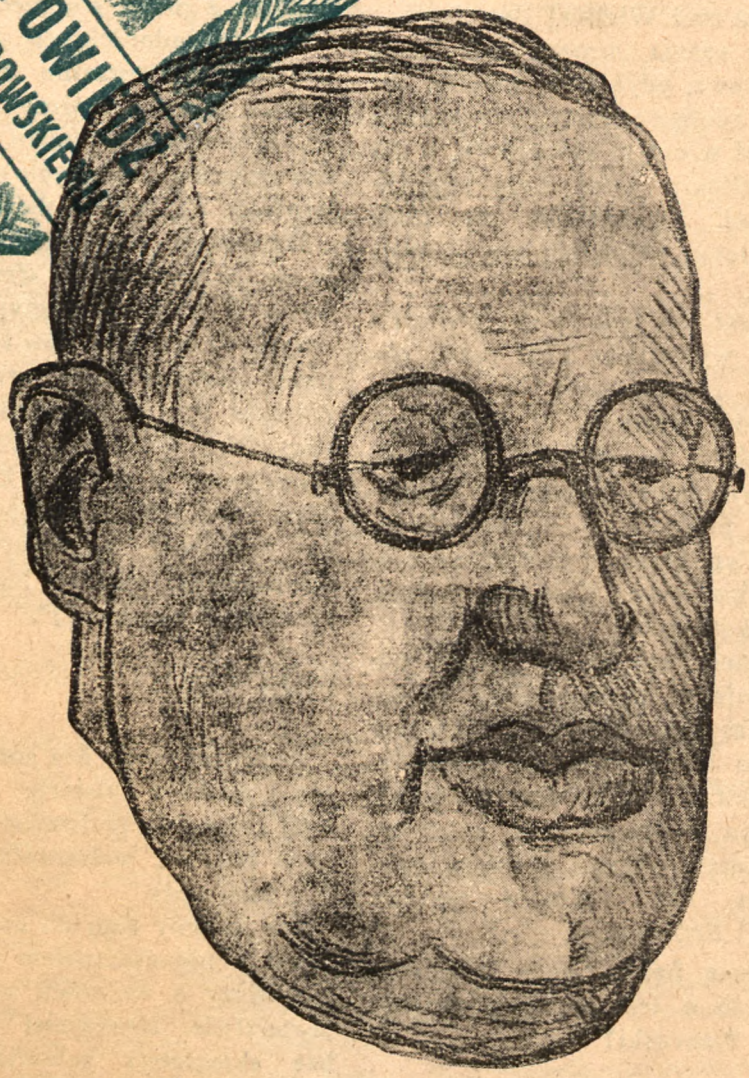
Wojewódzka Biblioteka Publ.
Nr 3519
LUBLIN
im. H. Łopacińskiego

MERKVRYVSZ POLSKI ORDYNARYINY

Dzieie wszytkiego świata w sobie za-
mykaiący dla informacyey pospolitey
Założony w roku 1661

G A S E T A T Y G O D N I O W A

OBOWIĄZKOWY
KSIĘGARNIA
J. J. J. J.



17

2469/153

MAURYCY ORZECH
redaktor i filar „Dziennika Ludowego”

Nr. 32 (282)

16.VII.1939

CENA 45 gr.

Dzieie wszystkiego świata

Czternastego lipca, kiedy ten zeszyt będzie już w rękach Czytelników, w Paryżu rozlegną się dźwięki Marsyljanki, pod Łukiem Tryumfalnym nastąpi defilada wspaniałej armii francuskiej, o zmroku wystrzelą w niebo tysiące rakiet, a na obu brzegach Sekwany lud zacznie tańczyć i wiwotać ku czci Wielkiej Rewolucji.

Tym razem uroczystości będą wyjątkowe, gdyż mija właśnie 150 lat od zdobycia Bastylji. Republika wystąpi w całym splendorze, a dla podkreślenia swej mocy republikańskiej, wyprowadzi na ulice miast rzecz najpiękniejszą — wojsko.

Zawsze tak jest, że dla upamiętnienia wypadków 1789 roku, obchody rozpoczynają się fanfarami strzelców pieszych. W słońcu pół Elizejskich, w spiekocie, maszerują czworoboki żołnierzy, powiewają płótopusze wychowanków Saint-Cyr, błyszczą miedziane blachy kirasjerów, warkoczą bębny, pada komenda.

Nikomu, kto na to patrzy, nie przyjdzie na myśl pytanie, co też sobie myślą oficerowie, którym zlecono zorganizowanie defilady.

Quatorze Juillet! Jest to wszak rocznica masakrowania żołnierzy przez męty uliczne, rocznica zwycięstwa Zła, rocznica upadku Francji Królewskiej.

Warczą bębny, pada komenda, lecz cóż o tem myśli przeciętny oficer francuski?

ŚLUCHOWISKA

Zglajchszaltowane radjo republikańskie (wszystkie rozgłośnie we Francji należą, albo też są kon-

trolowane przez bankierską rodzinę Dreyfussów), wszystkie te rozgłośnie od wielu tygodni nadają słuchowiska poświęcone gloryfikacji t. zw. Wielkiej Rewolucji.

Jedno z takich słuchowisk, godzące w honor żołnierza francuskiego, odbyło się trzydziestego czerwca, o godzinie ósmej i pół wieczorem. Temat? Ni mniej ni więcej, tylko upamiętnienie wypadków z przed stu pięćdziesięciu lat, z dokładnością co do dnia i godziny, odtworzenie dźwiękowe najścia pijanej tłuszczy na koszary i uwolnienia z aresztu dziesięciu szeregowców ukaranych przez pułkownika za brak subordynacji.

Zapowiedź słuchowiska spotkała się z protestami sfer wojskowych. W liście rozesłanym do uczciwych dzienników pewien generał pisze: „Kasyna podoficerskie i żołnierskie sale wypoczynkowe we wszystkich koszarach Francji są zaopatrzone w głośniki. Z tego wynika, że w przyszły piątek ogromna większość żołnierzy francuskich usłyszy apologję buntu i niekaralności wojskowej“.

UCZĄ NAS

Różni szachraje bez sumienia piszą i drukują historję rewolucji 1789 roku. Na podstawie tych danych robi się podręczniki szkolne dla młodzieży.

Nie miejmy żalu do nauczyciela, jeżeli z namaszczeniem opowiada młodzieży o wolności, równości i braterstwie. Nauczyciel taki, wobec skrzętnego zatarcia śladów przestępstwa, nie wie jak wyglądała t. zw. Wielka Rewolucja, kto ją wywołał i poco.

Nauczyciel taki nie wie, że zwia-

ne, byli to ludzie amoralni. Sutenier J. J. Rousseau handlował własnymi kobietami, Voltaire pobierał stałe pensje od króla pruskiego i od carycy petersburskiej.

Nauczyciel nie wie, że prawie wszyscy mernerzy rewolucyjni byli płatnymi agentami bądź angielskiego wywiadu, bądź też bankierów frankfurckich, którzy finansowali Wielką Rewolucję.

Nauczyciel nie wie, że dzięki rewolucji 1789 roku i rewolucjom następnym Francja zmieniła właścicieli.

Pojechawszy do Francji, nauczyciel taki zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że dobre wino bordoskie, które pije, nie pochodzi z winnic francuzów, lecz z domów Rotschildów, królów dzisiejszej Francji.

I jeszcze bardziej zdziwiłby się nasz nauczyciel, gdyby mu powiedziano, że za każdy kawałek chleba w Republice francuskiej płaci się haracz bankierskiej rodzinie Weillów, do której należą młyny i handel zbożem. Albowiem chłop francuski sieje, a Weill zbiera.

DYSKRECJA WIKTORA HUGO

Rozczulające, miejscami wstrząsające opisy Wiktora Hugo utkwili nam w pamięci. Mnóstwo nazwisk wprowadził pisarz ten na rewolucyjną scenę, lecz jeszcze więcej pokrył milczeniem. To samo robił i inni. Dopiero teraz, dzięki mozolnym pracom kronikarskim, dzięki opublikowaniu i zestawieniu licznych pamiętników emigracyjnych z tej ponurej epoki, zaczynają błyszczeć zupełnie nowe nazwiska aktorów rewolucji 1789 roku.

Identyczna historia, jak z na-

zwiskami głównych sprawców przewrotu bolszewickiego. Albo się je ukrywa, albo też podaje się pseudonazwiska o brzmieniu rosyjskim.

W żadnym ze swych pism nie wymienił Hugo takich nazwisk, jak: Mosellmann, Max Beer, Bidermann, Cerfbeer, Pick, Zalkind Hurwitz. Spotkała go za to nagroda. Prawie w każdym mieście Hugo ma teraz pomnik, albo skwer, albo łożę swego imienia.

POGROM KULTURY

Wszystko, co Francja miała wartościowego, poszło pod gilotynę, albo udało się na tułaczkę. O upadku kultury pisze lapidarnie Gaxotte: „Literatura rewolucyjna we Francji stała się równa zeru. Wychodziły dzienniki odznaczające się osobliwą werwą grubjańską, zazwyczaj płaskie i plugawe; w teatrach wystawiano sztuki setkami, ale były to utwory niezdarne... Literatura francuska zaczyna kwitnąć poza granicami Francji. Od roku 1793 do 1820, pomijając Bonapartego, wszyscy pisarze wartościowi są albo na emigracji (Chateaubriand, Bonald, Senancour, Rivarol), albo też nie są francuzami (pani de Staël, Constant,



Administracja MERKURYUSZA POLSKIEGO prosi gorąco Czytelników:

1) o wyraźne i czytelne pisanie nazwisk i adresów,

2) o podawanie poprzedniego adresu przy zawiadomianiu o zmianie miejsca zamieszkania,

3) o wpłacanie właściwych sum za prenumeratę (w kraju: miesięcznie — 1.50, kwartalnie — 4.20, półrocznie — 7.20 i rocznie — 14 zł.).

4) o zawiadomianie w wypadku nieotrzymania na czas pisma.

Maistre). Jedyna wartościowa powieść francuska ogłoszona między 1797 a 1803, czyli między „Pawłem i Wirginją” a „Valérie”, ukazuje się w Brunświku, w roku 1797...”

To tak zupełnie, jak z „proletarjacką” literaturą w Rosji sowieckiej. Francuscy bolszewicy z przed 150 lat też mieli twórczość „proletarjacką”. Innej nie potrzebowali. Uczonych także. Kiedy prowadzono Lavoisiera na ścięcie, jeden z członków Konwentu zawołał: „Republika nie potrzebuje uczonych!”

Ten sam okrzyk, zlekka sparafrazowany, słyszeliśmy przed dwudziestu laty: „Dałoj gramotnyjel!”

Jak widzimy, hasła rewolucyjne nie zmieniają się nigdy. Dodajmy, że nie zmieniają się też sprężyny przewrotów.

UCZCIJCIE CHŁOPA

Możeby tak nasi ludowcy wspomnieli w swym „Zielonym Sztandarze” o chłopach z Poitou, o chłopach wandejskich?

Zdaje się, że jak świat światem nie było tak strasznej rzezi chłopów. Rozległe prowincje Francji opustoszały, gdyż zarzynano nie tylko mężczyzn, lecz i kobiety z dziećmi.

Zarzynano za to, że chłopci nie chcieli pokumać się z bolszewikami 1789 roku.

Będzie nam bardzo miło, jeżeli „Zielony Sztandar” o tem wspom-

ni. Przedrukujemy w przeglądzie prasy.

NASZ KOLEGA

Wobec tego, że się zgadało o chowanych skrętnie wielkościach rewolucyjnych, że na początku tej rubryki padło kilka nazwisk, wspomnijmy o publicyście, który wyszedł z granic ówczesnej Rzeczypospolitej Polskiej i zabłysnął w Paryżu jako redaktor i jako wydawca.

Zwał się Zalkind Hurwitz, pochodził z Kowna, miał duży temperament rewolucyjny i pisarski. Znalazłszy się w stolicy Francji, położył odrazu rękę na prasie. Jego dziełem było powstanie dwu gazet wywrotowych: „Le Patriote français” i „L'Ami des Lois”, które przygotowały rewolucję.

Wprawdzie surowi krytycy, którzy teraz badają literaturę onczesną, nie chcą mu przyznać cnót i talentu. Zarzucają mu pozatem, że pisał w okropnym żargonie, że jego artykuły były właściwie zbiorowiskiem banalnych haseł, tych samych, jakimi i dziś posługują się jemu podobni. Ale Hurwitz był pierwszym, rasowym, w nowoczesnym znaczeniu tego słowa, publicystą rewolucyjnym. Był prekursorem Wiosny Ludów. I z tej racji jego nazwisko nie powinno w cieniu pozostawać.

DANTON I S-KA

Podczas terroru nastąpił taki moment, że najważniejsi działacze rewolucyjni zaczęli się nawzajem denuncjować. Oskarżano się w klubach, w łóżach, w prasie i publicznie. Raptem dowiedziała się publiczność, że wszyscy przywódcy — to złodzieje, że albo rozkradają

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

BŁĘKITNA BRAMA

z przedmową
LEOPOLDA STAFFA

Cena 3 zł.

Do nabycia w Administracji Merku-
ryusza Polskiego

38/b

Francję, albo ją wyprzedają rodom bankierskim, albo poprostu biorą pieniądze od Anglii czy innych mocarstw.

Wcześniej, bo w roku 1789, ambasador francuski pisał z Londynu, i przedstawiał dowody, że Danton jest utrzymankiem angielskiego biura wywiadowczego. Nie zwrócono na ten szczegół uwagi. Dopiero, kiedy Danton zaczął szantażować jednocześnie żydów i dom Orleański, zrobił się gwałt.

Ogólna „wsypa“ sprawiła, że dla ratowania własnych głów, wodzowie zaczęli ścinać głowy innym wodzom. I tak, pokolei, wyginęła cała ta zgraja. Dodajmy, że między Dantonem a Robespierrem były prowadzone rokowania. Można by je streścić w jednym zdaniu: „Przestań sypać mnie i moich złodziejów, to dam spokój tobie i twoim złodziejom“. Wobec wzajemnych intryg nie doszło do porozumienia. Rozpoczął się wyścig osobliwy: kto prędzej wyśle przeciwników na szafot. Zginęli bez mała wszyscy, a sprostytuowana rewolucja zawałała się z trzaskiem.

Wówczas pewien młodzian, o którym pamięć przetrwała jako o poecie Ange Pitou, ułożył słynny refren: „Czy warto było zmieniać to?“

SOKRATES

Dzieje starożytnych Aten przynoszą nam jeden jedyny przykład niesprawiedliwego skazania człowieka na śmierć, skazania Sokratesa.

I, choć od tej chwili minęło dwadzieścia kilka wieków, nie przebaczyliśmy sędziom.

Rewolucyjne trybunały francuskie skazywały na śmierć hurtem.

Na jednym z placów Paryża wybudowano specjalny kanał do odprowadzania krwi z pod gilotyn.

Proszę Państwa, gdzie jest potępienie tych czynów?

*

Et, nie chce się pisać. Pan redaktor Czapiński napewno zajmie się ciągiem dalszym i ogłosi w swym „Robotniku“ glorię Wielkiej Rewolucji. Wiem zgóry, co tam będzie. Znam na pamięć te wytarłe frazesy, te pompatyczne banały, w których niema sensu za grosz.

Kończę, bo upał i duszno. W Gdańsku nic się nie stało. Po raz czwarty czy piąty chciano nas zstraszyć możliwością „puczu“ i znów wyszło na jaw, że się nie boimy.

Przeczytałem w prasie zagranicznej, i zdaje mi się, to nie sekret, że koło Gdyni stoją daleko-nośne działa polskie, które w ciągu kwadransa mogą zburzyć port gdański i pruski most pod Malborkiem. Armata, ultima ratio. Idźmy więc spać spokojnie.

Z.

Z ZIEMI ŚW. STEFANA

II.

Lecz wróćmy do relacji z podróży.

Pociąg, wyruszywszy z Wołowca, jeszcze około godziny posuwa się wśród najwyższego pasma gór (granica polska, zarówno tu, w Bieszczadach, jak i dalej na wschód, w Gorganach, biegnie, jak wiemy, mniej więcej, szczytami Karpat). Przeciskamy się blisko wśród urwistych zboczy, porośniętych wspaniałym borem. Od czasu do czasu ciemna zielen jodeł i świerków ustępuje płachtom ia-

niejszej zieleni lasu liściastego. Jest on niemniej bujny, gęsto podszyty, dołem mroczny i czeluściasty, górą rozjarzony od słońca.

Poczynając od Swaljawy, pociąg wyraźnie poczyna opuszczać się w dół. Zbocza stają się mniej urwiste, rozchodzą się szerzej na obie strony, pojawia się coraz więcej poletek, zasianych owsem i kukurydzą.

Uderzająca rzecz: w górach mają być rzekomo zawsze kiepskie ziemie, tymczasem tu, wszędzie doskonałe. Zarówno niżej, gdzie gęściej jaśnieją półka uprawne, jak wyżej, gdzie tylko zrzadka pojawiają się polanki z pasącym się bydłem. Już zdaleka widać, że są to wyborne pastwiska, choć nieuprawne, a lepsze, niż gdzieindziej we świecie sztuczne, starannie kultywowane łąki. Choć to już czerwiec i drugi pokos, o czym najlepiej świadczą gęste kopki siana — wszędzie trawa po pas. Coprawda, tego roku wiosna była dżdżysta i wszystkie strumienie szumią tu od wezbranej wody, ale w każdym razie ziemia tu lepsza, niż po polskiej stronie.

MUNKACZ

Po jakichś dwu godzinach od granicy polskiej, góry rozchodzą się już całkiem szeroko i widać, że Podkarpacie się kończy. Jednocześnie pojawiają się kominy i dachy jakiegoś znaczniejszego miasta. Istotnie, dojeżdżamy do stolicy tu-tejszego okręgu — Munkacza.

W tę stronę minąłem Munkacz bez zatrzymania, ale wracając, popasałem tu jeden dzień, i żeby pokrótce powiedzieć: miasto z pozoru, mniejwięcej takie, jak Kutno, Mława, albo Łęczyca. Żydów tak samo zatręsenie i wcale nie moż-

na powiedzieć, żeby były sympatyczniejsze, niż nasze. Trudnią się też tem samem: mają handle korzenne, z żelazem, z manufakturą; taksamo pełno ich koło dworca i przystanku autobusów, które tu utrzymują komunikację z Užhorodem, Hustem i innymi miastami okolicznymi.

Pozatem jest tu szkoła handlowa, garnizon i, na wysokiej górze trachitowej, stary zamek Korjatowiczów z XIV wieku, obecnie pełniący funkcję cytadeli. Na tej górze zatknęli przed tysiącem lat pierwszą chorągiew Madziarzy, obejmując w posiadanie Panonię. W tym też zamku dzielna Helena Zrini, córka sławnego Piotra, a wdowa po Franciszku Rakocym trzy (1686 — 1688) lata broniła się przeciwko austrjakom.

RAKOCY

Całe Węgry zalane już były przez wojska cesarskie i broczyły krwią pod morderczą ręką jenerała Caraffy. Jeden tylko Munkacz, z bohaterską niewiastą na czele, bronił niepodległości korony świętego Stefana, odpierając tysięczne szturmowanie rozżartych austrjaków. Nie mogąc zdobyć zamku siłą, powiadomili Helenę, że schwytali jej męża (po śmierci Rakocego Helena wyszła po raz drugi za Emeryka Tekeli) i zabijają go, jeśli nie podda Munkacza.

— Tak postępować mogą tylko zwierzęta — odpowiedziała — a ze zwierzętami nie zawiera się paktów.

Dopiero po trzech latach nieustannych walk, zmorzony głodem, poddał się Munkacz niemcom i Helena, wraz z młodym synem z pierwszego małżeństwa, Francisz-

kiem Rakocym II ruszyła na tułaczkę.

Zróbmy tu małą dygresję, aby w kilku słowach wspomnieć o dalszych losach bohaterskiej kobiety (przygody Heleny i Tekelego, który znowu tułał się w Nikomedji, prześladowany przez baszów tureckich, posłużyły za temat do głośnej swego czasu powieści Pigault'a Lebrun p. t. „Baronowie Felsheim“), i jej syna. Właśnie on był tym Rakocym, któremu czyniono z Polski propozycje objęcia tronu po królu Janie III. Odrzucił je, pragnąc całkowicie służyć sprawie węgierskiej.

W POLSCE I NA WĘGRZECH

Podróżując po świecie, młody Rakocy poślubił córkę landgrafa hesko-reńskiego. W Paryżu poznał sławnego marszałka de Villars, który olśniony niepospolitemi zdolnościami młodego wojownika, wprowadził go na dwór i przedstawił Ludwikowi XIV. Po szeregu rozmów Król-Słońce, którego zresztą przeciwaustriackie zamiary pokrywały się z planami Rakociego, zdecydował się popierać jego sprawę.

Rakocy, w towarzystwie wysłańnika francuskiego, pułk. Longuevala ruszył na Węgry. Madziarzy postanowili tym razem nie uciekać się do pomocy Turcji (która właśnie podpisała traktat karłowicki), lecz samodzielnie rozpocząć walkę z Niemcami. Wśród najwyższych przygotowań w sprawę uderzenia: wydany zdradą Longuevala Rakocy wpada w ręce austriaków. Znowu, nadludzkiem poświęceniem ratuje go matka. Rakocy ucieka do Polski, gdzie przebywa czas jakiś.

W instytucie polskim w Budapeszcie wisi wielki obraz, niezbyt udolnie, lecz wzruszająco namalowany przez nieznanego malarza węgierskiego. Wyobraża właśnie chwilę, gdy szlachcic polski udziela gościny Rakocemu. Jak wspominałem, obraz pozostawia nieco do życzenia, zwłaszcza jeśli chodzi o wierność historyczną (polacy z fryzurami węgierskimi, czyli z warkoczami na skroniach), lecz z postaci Rakociego bije tyle szlachetności i majestatu, z całej sceny tyle polsko-węgierskich sympatji, że wynagradza to wszystkie braki.

KONFEDERACJA

Powrót Rakociego z Polski na Węgry, stał się hasłem do powszechnego powstania. Stała się konfederacja, której tekst i dziś jeszcze jest trochę aktualny:

My niżej podpisane węgierskie stany narodowe, wiadomo czynimy wszystkim, że przeciwko dworowi niemieckiemu, KTÓRY ZAPOMINA PRZYSIĄG, dąży do obalenia naszych praw i swobód, dziesiątkuje naszą ludność, obraliśmy z woli boskiej Opatrzności prześwietnego pana Franciszka Rakociego za naszego księcia i podejmujemy oręż

Maszyny do szycia

pierwszorzędnej gwarantowanej dobroci
poleca firma chrześcijańska

Józef ANKUDOWICZ

WARSZAWA, UL. HOŻA 34

Telefon 714-49

Ceny fabryczne znacznie niższe. Nożne, bębnowe pierwszego gatunku 150 zł. gabinetowe - 180 zł. duże krawieckie - 240 zł. Przesyłka na koszt firmy. Gwarancja 15-letnia. Na prowincję wysyłamy za zaliczeniem kolejowem, po otrzymaniu 20 zł. zadatku.

ZĄDAC KATALOGÓW I CENNIKÓW
41/b

dla odzyskania naszych praw narodowych.

Dalsze losy powstania znamy z historii: cały naród pod bronią, szereg piorunujących zwycięstw, marsz Rakociego aż pod Wiedeń, śmierć Leopolda, układy z Józefem I (koronowanym jeszcze za życia ojca), ciągłe trudności, wreszcie dzień 9 czerwca 1707 roku w Onod, gdzie skonfederowane stany, przy dźwiękach marsza Rakociego ogłaszają tron węgierski za wakujący; ofiarowanie Rakocemu księstwa Siedmiogrodu, nagła wolta Ludwika XIV, porzucającego sprawę węgierską, wojna Piotra moskiewskiego i Karola XII z Turcją, zamieszanie w całej Europie, złe czasy dla Węgier, наконец znowu, już ostatnia, do końca życia tułaczka bohatera po świecie (także i w Polsce) w towarzystwie trzech wiernych przyjaciół.

„Znużony blaskiem wielkości ziemskich i cześć światła chwały — powiada historyk — zamknął Franciszek oczy w Konstantynopolu 8 kwietnia 1735 roku, mając lat sześćdziesiąt“.

— Dzięki Ci, Boże — wyrzekł na chwilę przed śmiercią — żeś mi odebrał ziemską potęgę i to wszystko, za czem świat goni. Dzięki Ci, żeś dopuścił, aby mój pyszny umysł przywiódł mnie w te obrzydłe miejsca, gdzie wszystko stawia zapory namiętnościom moim, gdzie czuję się wolny od próżności, właściwej możnym tego świata...“

RÓWNINA WĘGIERSKA

Opuszczając Munkacz, pociąg wkracza już na równinę węgierską.

Z okien wagonu kraj łądząco przypomina Polskę. Te same wsie o bielonych ścianach, tyle, że murowane, jeśli murowaniem można nazwać ściany z niewypalanej cegły (brak drzewa jest jedną z prawdziwych klęsk gospodarki węgierskiej; dopiero teraz, z odzyskaniem Rusi, sprawa ta poprawia się nieco i np. przemysł papierniczy, którego na Węgrzech dotychczas nie było, zaczyna się odradzać, zaczynając od dwu, budowanych właśnie, papierni). Różnią się także nieco tem wsie węgierskie od polskich, że ganki, które u nas niewiele co szersze od drzwi, na Węgrzech biegną wzdłuż całej ściany, wsparte na filarkach.

Zresztą to samo: rozległe pola, z gruzami na miedzach, gdzieś gdzie mała dąbrowa czy olszynka nad strumieniem. Gdyby nie to, że widzi się tu tylko łąny pszenicy i kukurydzy, rzekłbyś: Polska.

Ziemia coraz lepsza. Wszędzie, na urząd taka, jak w Hrubieszowskiem, albo na Kujawach. To też

WRONSKIANA

Rocznik filozoficzno - matematyczny pod redakcją JERZEGO BRAUNA

Objętość 262 stron. Cena 10 zł.

Skład główny Gebethner i Wolff
Warszawa

„...Chcemy dać Polsce, przeżywającej głęboki kryzys duchowy i postawionej pośrodku gwałtownej walki idej i prądów społeczno - politycznych, bazę odrodzenia umysłowego i moralnego. Chcemy dopomóc polskiej świadomości narodowej do samopoznania i samookreślenia się w historii przez wydobycie na jaw potężnych i niezniszczalnych wartości jakie tkwią w jej filozofii. Chcemy wyrugować z Polski obce doktryny, powodujące zamęt pojęć, ugruntować szacunek dla myśli i przyzwyczajając do dyscypliny intelektualnej...“

Do nabycia w księgarniach oraz w admin. „Wronskianów“, W-wa, Wilcza 65 m. 1. Konto PKO 153.210. Na żądanie wysyłamy za zaliczeniem.

wszędzie pszenica, a pszenica to jak las.

Konie niezbyt rosły, ale doskonale zbudowane, zwięzłe i świetnie utrzymane. Bydło w tych stronach jeszcze takie, jak na Podkarpaciu, czerwone, białogrzbięte, podobne do naszych górskich krów. Zrzadka tylko spotyka się siwe, wielkorogie, które w głębi kraju, a zwłaszcza na pastwiskach pusty węgierskiej panuje już niepodzielnie.

WINNE KRAJE

Za miastem Czap (węgry piszą Csap) przybliżamy się nieco do komitatu Zemplen, a właściwie do jego południowej granicy, gdyż leży on daleko na północ. Tam ciągnie się sławne pasmo gór Tokajskich, to też z ciekawością wyglądamy z wagonu, czy też ujrzymy winnice. Niestety, spotyka nas zawód. Owszem, są, lecz niewiele ich więcej, niż gdzieindziej. Nie można powiedzieć, żeby krajobraz wyglądał na winny raj. Tak. Tokaj leży dalej, to widać odrazu.

Oczywiście, na równinach nie można oczekiwać tego, co na zboczach górskich. Tembardziej, że rząd pilnie przestrzega tego, aby win, produkowanych na równinach, nie podawać za wina górskie, a już tembardziej win z innych okolic kraju, za tokajskie. To też do Tokaju wogóle nie wolno przywozić żadnych win (oczywiście dlatego, aby ich później nie wywieźć z marką tokajską).

To też, o ile na zboczach górskich właściciele gruntów prowadzą przede wszystkim, a nieraz wyłącznie, winnice, o tyle na równinach specjalnie się w tym kierunku nie palą, jak się to mówi. Plantują wino narówni z kukury-

dzą, pszenicą, drzewami owocowymi, wszystkiego potrochu.

TROCHĘ O WINACH

Przy okazji kilka szczegółów dla amatorów wina węgierskiego.

Wina węgierskie nie noszą nazw, jak np. francuskie czy włoskie, od okolic i nie można mówić o „markach“ tych win, tak, jak to jest przyjęte w stosunku do tamtych. Mniej więcej w całym Węgrzech są te same odmiany (Furmint, Harsleveli i kilka innych), a różnica polega raczej na klasie i wieku.

Najpospolitsze wino, wyrabiane przeważnie w gospodarstwach małych, jest dość cienkawe (choć bez porównania pełniejsze i smaczniejsze, niż kwaśna lura, podawana w trattoriach włoskich, odpowiadająca mniej więcej tej klasie wina, t. j. pospolitej, stołowej odmianie). Okoliczność, że to wino jest dość cienkie, pochodzi stąd, że drobni, domowi producenci wina, przeważnie chłopci, obrywają z gron jagody najdojrzałe, przestałe, nieraz aż popękane z przejrzałości, a więc najśłodsze, i sprzedają osobno winiarzom dużym. Dopiero pozostałe jagody tłoczą i przerabiają na wino.

Winiarze średniej, żeby tak powiedzieć, wielkości, przeważnie mieszczanie, robią wino z gron całych, jak idą. Ten gatunek wina nosi nazwę, wziętą zresztą z języka polskiego (ongi Polska była największą importerką win węgierskich), mianowicie to wino nazywa się „samorodne“ (węgry piszą, jak zwykle, czytając „sz“ jako „s“ — „Szamorodne“).

ASSU

Najwyższej klasy wino węgierskie (jeśli nie liczyć sławnej „kap-

ki"), czyli wino „assu“ wyrabiają wielcy producenci win. Kupują oni od chłopów najdojrzalsze jagody i dodają do swych zbiorów. Od ilości puttów (cebrzyków) jagód przejrzałych, dodanych na beczkę zwykłego moszczu, zależy oczywiście smak tego wina i stąd płynnie nomenklatura wina 1-puttowego, 2-puttowego, 3-puttowego i t. d., aż do 7, a nieraz i więcej puttów.

Wspomniałem o „kapce“. Jest to rara avis między najcięższymi winami. Otrzymuje ją się w ten sposób, że, nie wytlaczając najdojrzalszych jagód, wsypuje się je tylko do beczki i sok, który spłynie pod własnym ciężarem, poddaje fermentacji. Lecz jest to już prawie likier, nadzwyczajnie słodki i esencjonalny, który musi fermentować całymi latami i właściwie zabawka: w największych winnicach otrzymuje się po kilkanaście litrów „kapki“, służącej tylko dla osobistej rozrywki właściciela winiarni, a przeważnie jego żony i jej przyjaciółek.

KAPKA I SAMORODNE

Termin „kapka“ także jest przyswojony od Polaków i pochodzi od słowa „kapać“. Jak widzimy, język węgierski, jeśli chodzi o wina, sporo zapożyczył od nas. Bo też, możemy między sobą powiedzieć, żeśmy w ciągu wieków wypili, mniejwięcej, Balaton węgryzna. Kto nie wie, co to jest Balaton, temu chętnie wyjaśnię. Jest to jezioro węgierskie, trzecie co do wielkości w Europie, po Ładodze i jeziorze genewskim. Liczy jakieś 80 kilometrów wzdłuż i kilkanaście wszerz. Gdy którego z Szanownych Czytelników łupnie wielki palec u nogi, niech jedzie nad Balaton,

popatrz w jedną i drugą stronę, a stanie się dlań rzeczą zupełnie jasną, czemu Polacy tak skłonni są do podagry. Oto, co się nazywa cierpieć za winy niepopelnione: starzy Polacy golili węgryzna, a ty, bracie, cierp.

Oprócz „kapki“ i „samorodnego“ jeszcze jedno wino węgry nazywają z polską. Mianowicie sławny „maszlas“ (węgry piszą „maszlas“) nie jest niczem innym, jak polskim „masłaczem“.

I MY TEŻ

Ale i my, pięknem za nadobne odpłacając, niejedno słowo zapożyczyliśmy od Węgrów. Bardzo, pamiętam, zdziwiłem się, gdym po raz pierwszy dostrzegł szyld z butelką i napis „Koresma“ (węgry czytają „korczma“). Znowum się też dziwił, gdym usłyszał na którymś z dworców małego chłopca, biegnącego z torebkami czereśni i wołającego: „Czereszne! Czereszne!“

Dobosz po węgiersku jest dobosz. (Od „dob“ — bęben. Stąd pochodzi przenośnia: bić, jak w bęben). Warkocz — warkocz. Hajduk — hojduk. (To znowu pochodzi stąd, że jest na Węgrzech oko-

W Administracji MERKURYUSZA	
POLSKIEGO nabyć można książki:	
Kazimierz Bobiński „COP“	zł. 3.—
Jerzy Braun „Zagadka dziejowa Polski“	zł. 4.—
Juljusz Dudziński „Moich siedem grzechów głównych“	zł. 3.—
Władysław Studnicki „System polityczny Europy a Polska“	zł. 5.—
„Wronskiana“ (Rocznik filozoficzno-matematyczny)	zł. 10.—
Czesław Jastrzębiec-Kozłowski „Błękitna Brama“	zł. 3.—

lica, w której lud nosi nazwę „hojduków“ i tak się właśnie malowniczo ubiera, że wszystkich stangretów na Węgrzech, a swego czasu i u nas, w ich strój morderowano). Czeladź — czoladź. Gorzałka, czyli przepalanka — palinka. Kielbasa — kolbasa. Kapusta — kaposta.

Jak widzimy, najważniejsze słowa mamy wspólne: korcзма, maślacz, samorodne, kapka, palinka, kolbasa. Jest to, każdy przyzna, zapas słów, najzupełniej wystarczający, aby polak na Węgrzech nie zginął marnie.

J. B.

(Dokończenie nastąpi)

Nasi współcześni

MAURYCY ORZECH

redaktor i filar

„DZIENNIKA LUDOWEGO“

Ach, jakże przyjemnie jest chwalić! Kto jak kto, ale pan Maurycy Orzech nadaje się specjalnie do chwalenia. Bo czego ten człowiek nie dokonał! Zjednoczył PPS z Bundem, pogodził burżujów z proletarjatem, skłonił fabrykantów do współpracy z socjalistami, sam wszedł, jako bundowiec, do redakcji „Dziennika Ludowego“, postawił na nogi to wątłe wydawnictwo, tchnął nowe życie w demokrację polską i tak dalej, i tak dalej.

Ale pokolei, moi panowie, jak mawiał Sam Weller, powtarzając te słowa za katem, który zabierał się do hurtowego wieszania

BUND I PPS

Stara, rzetelna sarmacja, redagująca gazetę „Robotnik“, gazetę o pięknych tradycjach niepodległościowych, stara ta gwardja z nie-

ukrywanym niesmakiem tolerowała i toleruje przyplątywanie się Bundu do Polskiej Partji Socjalistycznej.

Trudno, kobyłka u płotu. Wszak się rzekło, że proletariusze wszystkich krajów mają się łączyć, tembardziej więc hasło to obowiązywało wewnątrz kraju, wewnątrz rogatek i wewnątrz podwórza przy ulicy Wareckiej 7.

Hasło hasłem, a złe humory humorami. Życie dowiodło, że proletarjat katolicki z trudnością się łączy z proletarjatem starozakonnym.

Różnica temperamentów? Być może. Jedno jest pewne, że wszystkie mieszane pochodny 1-majowe, złożone z pepesowców i z bundowców, kończyły się zawsze żwawą bijatyką.

Zawiodły również próby organizowania proletarjackich meczów piłki nożnej, meczów pepesowsko-bundowskich. Zwykle, jeżeli bramka wypadła na korzyść Abramka, to następowała chyża gonitwa, urozmaicona turbowaniem mniejszości sportowej.

Wobec tak niezachęcających prób współżycia, wodzowie PPS zaniechali manifestacyjnego bratania się z Bundem, gdy stało się to groźne dla partji. Podobno rozważano nawet projekt zupełnego zerwania z bundowcami, a zawarcia paktu z romantycznym Poalej-Sjonem. Lecz ze strony Bundu nastąpiła zręczna interwencja. Głos zabrał człowiek wpływowy, bohater rubryki dzisiejszej, b. redaktor gazety „Naje Fołkscajtung“, p. Maurycy Orzech.

— Szukam rasowego pudła-szczeniaka, od amatora. Zapewnię troskliwą opiekę. Wiadomości proszę kierować do MERKURYUSZA, Wilcza 65, albo telef. 8.10.03.

ZJEDNOCZYCIEL

Tak, proszę państwa. Już, już, zdawało się, że przyjaźń PPS z Bundem pęknie, że nie będzie z niej śladu, że nigdy dwie te partje nie będą współpracowały. Tak się zdawało, i najczarniejsze myśli opanowywały wybitnych demokratów.

Lecz zjawił się redaktor Maurycy Orzech. Jak konferował, z kim konferował, jakich używał argumentów, tego oczywiście nie wiem i mogę tylko domyślać się tonu tych rozmów, zestawiając fakty i przejawy.

Dość, że w polskiej prasie socjalistycznej nastąpił podział wpływów. Stary, zasłużony „Robotnik” oparł się bundaizacji, a popołudniowy „Dziennik Ludowy” został gruntownie zbundaizowany.

Do tego stopnia wyraźny był ten podział wpływów, że mógł to zauważyć każdy czytelnik na pierwszy rzut oka. „Robotnika” zaczęto robić (i robi się obecnie) dla publiczności polskiej, gdy tymczasem „Dziennik Ludowy” jest redagowany dla północnej dzielnicy Warszawy. Istnieje jakgdyby linja demarkacyjna. Pierwsze pismo sprzedaje się w śródmieściu oraz w dzielnicach chrześcijańskich, drugie zaś jest kolportowane na ulicy Bielańskiej i na wszystkich jej rozwidleniach, tworzących zespół gęsto zaludnionych dzielnic, a określanych w gwarze bundowskiej jako „Moskwa”.

Stało się więc, że redaktor Orzech objął w zarząd popołudniową gazetę pepesowską i wyrobił dla niej nową klientelę.

DALSZE ZASŁUGI

Z próżnego chyba tylko magik naleje. Maurycy Orzech nie jest

magikiem. Jest tęgim finansistą, jest milionerem, jest właścicielem olbrzymiego kompleksu gmachów, znanych pod nazwą „bazaru Orzecha”. Jest dyrektorem, a podobno i współwłaścicielem, wielkiej fabryki wyrobów gumowych przy ulicy Karolkowej w Warszawie, był do niedawna dyrektorem bundowskiego banku „Arbeter Kredit-Centrale” przy ulicy Nalewki 2. Krótko mówiąc, p. Maurycy Orzech jest finansową potęgą.

Otóż ta potęga, ta głowa tęga weszła do „Dziennika Ludowego” i orzeźwiła rachityczne pismo. Nie wiadomo, czy redaktor Orzech wniósł własne pieniądze czy własny talent administratorski, dość, że gazeta nabrała rumieńców

RUMIENŃCE

Te rumieńce, powiedzmy na zimno, mają wygląd niezupełnie zdrowy. Przejawiają się w tem, że „Dziennik” przyjmuje i drukuje ogłoszenia fabrykantów łódzkich. Zwrócił już na to uwagę MERKURYUSZ (23.X.38), zamieszczając *) spis firm, które się ogłosiły w jednym tylko numerze „Dziennika Ludowego”.

*) Autor ma na myśli numer „Dziennika Ludowego” z ósmego października ub. roku. Między innymi były tam dwu- i trzyszpaltowe reklamy następujących fabryk łódzkich, zgierskich i bielskich: A. Rabinowicz, M. Ickowicz, Lewin i Aizen, Jakub Lando, S. Gottheil, Pinkus Gerszowski, Minc i S-ka, J. M. Kupfer, S-ka Akc. Polski Lloyd, Karol Eiger, Bracia Skokowscy, Konfekpol, Anatol Frumkin, Berensztajn, Zonis i S-ka, Mozes Rozenfeld, Sp. Akc. „Print”, M. A. Oksenberg, Jakób Leszczyński, Sz. Borysański, Władysław Zylbersztajn, Henryk Spiro, Gustaw Patberg, Mazo i Lempert, A. A. Piaskowski, Jakób Kohan, L. Feldberg, „Syntex”, Karol Jankowski i Syn, Międzynar. Tow. Mitranza Sp. Akc., P. Dawidowicz, I. Ringart, L. Lipkind, Mayzel i S-ka, S. Luksenburg, Gerszon Weinstein i tak dalej. Dużo, bardzo dużo, jak na jeden numer organu „świata pracy”. — Red.

Mówią, że od tych rumieńców na szpaltach „Dziennika“ bije mdławawy blask, że od tego blasku rumienią się starzy wodzowie Pepeesu, rumienią się nie w przenośni, lecz w rzeczywistości. Ale fakt pozostaje faktem: organ świata pracy „Dziennik Ludowy“ stał się jednocześnie organem przemysłu łódzkiego.

W tem miejscu wypada złożyć hołd talentowi p. Maurycego Orzecha. Jego genialne posunięcia sprawiły, że na pewnym odcinku publicystyki demokratycznej, mianowicie na szpaltach „Dziennika Ludowego“ niema już mowy o walce klas, niema już mowy o wyzysku robotnika polskiego przez fabrykanta w Łodzi czy w Zgierzcu. Piśze się tylko o gnębieniu parobka i drobnego rolnika przez szlachtę, ale o fabrykantach... cyt, cyt!

Zreasumujmy: pan Maurycy Orzech zapobiegł rozejściu się Polskiej Partji Socjalistycznej z Bundem, powtóre, sam jako bundowiec wszedł na kierownika i ożywił pepesowski „Dziennik Ludowy“, i potrzenie, dokonał sztuki niezwykle efektownej, mianowicie zechęcił fabrykantów do finansowania, za pośrednictwem biur ogłoszeniowych, tegoż „Dziennika Ludowego“.

DZWIGNIĘCIE DEMOKRACJI

Na tem nie kończą się zasługi pana Maurycego Orzecha. Znakoimity ten działacz dowiódł, że można być radnym z ramienia Bundu i jednocześnie można być kierownikiem popołudniówki pepesowskiej.

Albowiem, jak powiada tygodnik demokratyczny „Czarno na Białem“ (10.IV.38):

„Demokracja żydowska jest podwójnie zainteresowana w zwycięstwie demokracji polskiej i w dojsciu jej do władzy“.

„Demokracja polska szukać będzie sojusznika w demokratycznych kołach społeczeństwa żydowskiego“.

Prorocze te słowa, opublikowane zgórą przed rokiem, już się ziściły. Sojusznik pośpieszył z pomocą, i to z niebylejaką. A zasługa w tem wszystkim: pana Maurycego Orzecha. Chwała więc Orzechowi!

CO NA TO WARECKA?

Podczas gdy p. Orzech, przesiadując w gabinecie przy ulicy Boduena 4, redaguje swój organ polskiego świata pracy i kapitału miasta Łodzi, stare polonusy z ulicy Wareckiej smutnieją z dniem każdym i odgradzają się od „Dziennika“. Redaktor Czapiński nie zamieszcza przedruków z bratniego organu, redaktor Niedziałkowski zupełnie wyraźnie ignoruje „Dziennik Ludowy“. Antagonizm zaszedł tak daleko, że drukarnia przy ulicy Wareckiej przestała drukować gazetę pana Orzecha, wobec czego „Dziennik Ludowy“ przeniósł się do innej tłoczni.

Tak, stare sarmaty z PPS niechętnie biorą do ręki bratni organ, przezwany w gwarze redakcyjnej „Orzechem Ludowym“. Niechętnie biorą go do ręki, a we własnym „Robotniku“, rzecz prosta, nie chcą zamieszczać ogłoszeń fabrykantów i spółek akcyjnych.

Wprawdzie i oni nie są bez grzechu, bo, na przykład, pozbyli się niedawno Jana Nepomucena Millera, a na jego miejsce wzięli Irkę-Nachalnik.

Ale, któż z nas nie popełnia błędów. Wszyscy błądzimy.

MAURYCY ORZECH

Na zakończenie nieco biografji. Maurycy Orzech, pan na bazarze Orzecha, potomek starej rodziny nowiniarskiej, skoligaconej z linią franciszkańską, otrzymał wszechstronne wykształcenie. Jest publicystą, finansistą, przemysłowcem, bundowcem, pepesowcem, bankowcem, administratorem, politykiem, kamienicznikiem, akwizytorem, dyrektorem i wzorem.

Wychowany w tradycjach patryarchalnych, p. Orzech trzyma się ściśle obyczajów. Naprzykład w święto Jom Kipur pości cały dzień, wieczorem wszystkie swe grzechy przetrzuca na koguta, zarzyna go i zjada wraz z grzechami w potrawce z ryżem. Ten drobny szczegół świadczy, że mamy do czynienia z człowiekiem solidnym, respektującym ducha minionych pokoleń.

Naczelnny publicysta „Dziennika Ludowego“, red. Zygmunt Zaremba ceni w panu Orzechu przede wszystkim jego zmysł handlowy. Co ceni pozatem, a czego nie ceni, nie wiadomo. Jedno jest pewne, że wydawnictwo rozwija się dobrze, daleko lepiej i równiej niż ś. p. b. p. „Głos Stolicy“.

HOROSKOP

Wobec tego, że prawie każda gazeta uprawia horoskopy, zabawmy się i my w przepowiednie.

Co będzie z Maurycym Orzechem? Czy zgryzą go stare ale jare polonusy z ulicy Wareckiej? Czy też, idąc po linii najmniejszego oporu, machną ręką i rzekną: „Pal sześć, niechże sobie nadal wychodzi „Orzech Ludowy“, niech sobie reklamuje fabrykantów łódz-

kich, pal ich sześć. My będziemy drzemali, jak dotąd, udając, że nie wiemy o niczem“.

Byłoby ładnie, gdyby p. redaktor uderzył pięścią w stół i odzegnał się raz na zawsze od „Orzecha Ludowego“, od Bundu i od wlokącej się za nim finansjery międzynarodowej. Jakby to było ładnie, gdyby zaprosił z powrotem pana Jana, a rozstał się z Irką-Nachalnik, z durnym Arem i innymi pseudonimami. Krótko mówiąc, jakby to było ładnie, gdyby p. redaktor Niedziałkowski dał nam takiego „Robotnika“, jak niegdyś bywało przed laty, kiedy to „Robotnik“ nas wzruszał, kiedyśmy go czytawali pod ławką w szkole rosyjskiej.

Niechże wiara z ulicy Wareckiej o tem pomyśli. Stawiam horoskop, że tak będzie.

Z.

Obiady czwartkowe

W „Wiadomościach Literackich“ z 9 lipca b. r. Józef Łobodowski, poeta i publicysta, zamieścił artykuł p. t. „Nacjonalizm na bezdrożach“. Formalnie jest to odpowiedź na mój art. „Wygrana wojna“, esencjonalnie ma to być rozprawa z całym nacjonalizmem polskim, którego reprezentacyjną postacią mam zaszczyt być w oczach Łobodowskiego. W artykule tym jest parę dobrych szlagierów agitacyjnych i niezaprzeczenie zręcznych chwytów — co muszę bezstronnie przyznać — niema jednak krytyki podstaw nacjonalizmu. Dawno nie spotkałem publicystyki, któraby tak rozkruszała się w palcach, za którą kryłaby się tak wielka pustka wewnętrzna. Widać tutaj, jak na dłoni, że pisze człowiek smutnie rozszepiony, który sam jest dopie-

ro w okresie szukania, nie znalazł sobie jeszcze gruntu pod nogami.

Gdy swego czasu rozprawiałem się z marksizmem (i bolszewizmem) w cyklu artykułów w „Zecie“, określiłem wyraźnie przedmiot ataku. Sformułowałem elementy metafizyczne i genetykę wewnętrzną tej wrażej doktryny, zachynając walkę od przewrócenia metody dialektycznej Hegla. Z artykułu Łobodowskiego nikt się nie dowie, jakie są elementy narodowego poglądu na świat. Łobodowski nie zbija nawet fundamentalnych tez Dmowskiego, a cóż dopiero mówić o Wrońskim i polskiej filozofji mesjanicznej, na której opiera się mój nacjonalizm.

Łobodowski przekomarza się z cieniami polskiego nacjonalizmu, nie z nim samym. I nic dziwnego, bo artykuł jego jest tylko rozgrywką taktyczną, potrzebną komuś w aktualnej fazie walki.

ZBYTECZNI KIBICE

Punktem wyjścia jest dla Łobodowskiego „nagonka na kilku poetów, zorganizowana przez szereg pism nacjonalistycznych“. Otóż, nie „zorganizowana“, bo wystąpienie Pietrkiewicza było indywidualne. Dopiero post factum przyłączyli się inni. Atak wywołał panikę na ul. Złotej. Ratując się, wykorzystano Micińskiego. Wtedy wystąpiłem ja, sprowokowany sztychem z za węgla. Ciekawy byłem, kogo sobie znajdą tym razem panowie z „Wiadomości Lit.“. Nie przypuszczałem, że będzie to właśnie Łobodowski, jak przedtem zdziwił mnie postępek Micińskiego. Bo przykra jest rola „goja“, kibicującego rasie wybranej.

Mam wrażenie, że Łobodowski podświadomie zdawał sobie z tego

sprawę. Dlatego zaczął od obrony Micińskiego. Może to i ładny krok koleżeński, jako że Łobodowski też ma posadę w Polskiem Rądo (choć — zaznaczymy to dla ścisłości — nie dał ofiary na żydów). Wolałbym jednak, by się powstrzymał przy tej okazji od zarzutu, że ja „zongluję prawdą“. Łobodowski nie jest na tyle naiwny, by nie wiedział, jak płaci wzniosły kałdun bankierskiej międzynarodówki za świadczenia humanitarne na rzecz Izraela. Młodzieńcy w rodzaju Micińskiego mogą sobie z tego nie zdawać sprawy. Temniemniej każda „ofiara na żydów“ to wrzucenie monety do automatu z karjerą, co odbiera jej charakter bezinteresowności.

DLACZEGO „U NICH“?

Ale to drobiazg. Gorsze jest, że Łobodowski-polak uważał za stosowne „rozprawić się“ z nacjonalizmem polskim właśnie na łamach „Wiadomości Literackich“. Tu się nie dogadamy, bo gdyby nawet ten nacjonalizm miał wielkie wady, jest to nacjonalizm *polski*, a „Wiadomości“ to obcy, to *żydzi*; tu jest jednak nacjonalizm *chrześcijański*, a tam jest *loża*.

Rola „Wiadomości Lit.“ w kulturze naszej była zdecydowanie destrukcyjna. Z perspektywy 20-lecia jest to jasne dla 99 proc. polaków. Łobodowski tego nie widzi, ba! wylądowuje „po tamtej stronie“, dając tem samem swe placet na to cyniczne zło, jakie tam sobie obrało siedlisko. Razi go „miotła“ Zbyszewskiego, ale „gwizdawka“ Słonimskiego snu mu nie przerywa. Razi go Majdański, ale ohydą propagandę długoletnią Boya strawił bez trudu. Ja przynajmniej nie pamiętam protestów Łobodow-

skiego przeciw pornograficznym harcom „Zycia świadomego“.

NIEFORTUNNA AMBONA

Na jakichże to łamach Łobodowski zarzuca mi „niemoralne metody“, piorunuje na „brutalność“, ubolewa nad moją „ewolucją“. Tam gdzie hulało spryciarstwo, powiększając nakłady przez artykuły Krzywickiej o menstruacji i Boya-Zeleńskiego o „paćkaniu się w fekaljach“. Tam, gdzie cynicznie likwidowano niewygodnych, czy to zwyczajnem kłamstwem, czy łatwemi szmoncesami, czy wypróbowaną metodą „todschweigen“. Tam, gdzie na sztuce, wypranej z wszelkich pierwiastków metafizycznych, robiło się dobre interesy, przy ładzie „kunsthändlerów“.

Ja nie epatowałem dezynwolturą etyczną. Kryterjum „nasz — nie nasz“ nie stosowałem. A na propozycję p. Zawistowskiego subsydjowania „Zetu“, jeśli „obniżymy poziom“, odpowiedziałem: „Wolę stracić wszystko, niż zejść choćby o ton niżej“. Odmawiam tedy Łobodowskiemu prawa do kaznodziejstwa — z tamtych łamów.

ICH „OBJEKTYWIZM“

Łobodowskiego martwią „brutalne“ metody walki. Gdym prowadził przez tyle lat rzetelne polemiki, radowano się w Izraelu, że Braun pisze „tasiemce filozoficzne“, których i tak nikt nie czyta. Ja się wysilałem szlachetnie na pisanie traktatów spekulatywnych, a w odpowiedzi słyszałem tylko kpiiny, że to „ple, ple“, bajdurzenie „brodatych Talesów“. Łobodowski zarzuca mi brak obiektywizmu w ocenie przeciwnika i woła o „rycerski stosunek do wroga“. Apele

takie na łamach „Wiadomości Lit.“ przywodzą na myśl przysłowie: „Djabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni“. Wszak na morderczy wieloletni wysiłek myślowy i finansowy „Zetu“, wysiłek dokonywany w tragicznej pustce, Pański poczciwy, humanitarny Słonimski reagował paruwerszowymi notatkami p. t. „Od Zetu do bzdetu“, „Zet dalej kiwa palcem w bucie“ i t. p.

TERAZ DOPIERO GWAŁT...

Nie mogę powtórzyć, ze względu na obyczajność publiczną, wyrażań, jakimi opluwała pracę poważną „Zetu“ prasa w rodzaju „Wiadomości Lit.“, „Sygnałów“ i t. p. „Pluskwy“, „dłubanie w nosie“ — to były jeszcze terminy najestetyczniejsze. A organ p. Rzymowskiego nazwał „Zet“: „szmatławem pisemkiem, żerującym w rynsztokach“. Bo wiadano, że pismo to jest trudne i mało kto je czyta, można je więc bezkarnie obrzucać wymysłami. Kto z czytelników „Wiadomości Lit.“ czy „Kurjera Porannego“ dowie się, że to „rynsztokowe“ pisemko w rzeczywistości drukuje same rozprawy spekulatywne, jak „Filozofja bud-dyjska“, „Krytyka rozumu twórczego“, „O idealizmie i realizmie“, „Rzeczywistość a logika“ i t. d.

Ale gdy publicysta „Zetu“ nakłonił ucho wskazówce Krasińskiego: „przymieszaj nieco żółci do twych lazurów“, gdy zaczął rąbać wprost krzyżową sztuką, na bardziej po-

W Sochaczewie do sprzedania domek murowany z ogrodem owocowym.—Wiadomość tel. 981-70. Al. Jerozolimskie 41 — 16.

czytnych łamach MERKURYUSZA, wtedy dopiero popłoch i gwałt i gorzkie żale: „Jak to ładnie było dawniej w Zecie... Jakąż to ewolucja od „Tancerza otchłani...” Zamiast walczyć z ideami, Braun atakuje ludzi...”

Ależ, kochany panie, oni gwizdali na całą tę walkę idej. Oni mnie nauczyli cenić przysłowie: „Nie miotajcie pereł...” Przekonałem się, że z ludźmi z dżungli trzeba rozmawiać w ich własnym języku.

ZASADNICZY MANKAMENT

Teraz już nie ma powrotu. Skończyły się piękne dni Aranjezu. Na nic skargi. Teraz już nie da się nawet zastosować niezawodnej metody „todschweigen”. Cóż ona pomoże, kiedy już zewsząd biją, i to tak, że zaczyna boleć. Teraz już nie będzie się pisało: „Od Zetu do bzdetu”. Teraz trzeba już napisać całą kolumnę, trzeba znaleźć „dobrego goja” Łobodowskiego, który się za nas rozprawi z tym nieznośnym, brutalnym, bezwzględnym nacjonalizmem.

Łobodowski zarzuca mi, że sobie obrałem za trybunę pismo, które „żyje na łaskawym chlebie sądów państwowych” (uwaga niezbyt taktowna, zwłaszcza, gdy się ją zestawi w jednym szeregu z wymysłami p. Słonimskiego w „Kronice tygodniowej” tegoż n-ru „Wiadomości Lit.”). Nikt mu nie kazał polemizować z artykułami memi z MERKURYUSZA. Jednocześnie niemal ukazał się w „Zecie” artykuł mój podobnej treści p. t. „Wyzwolenie kultury”.

MERKURYUSZ jednak nie żyje na łaskawym chlebie czytelników żydowskich i nie spekulował na niewybrednych tematach, jak

organ, który obrał sobie za trybunę p. Łobodowski. I to jest pierwszy mankament jego artykułu.

POCO IM SCHLEBIAC?

Jest i drugi mankament: Łobodowski niepotrzebnie schlebia a som poetyckim „Wiadomości” w rodzaju Tuwima, Słonimskiego, Wittlina. Mógłby poprzestać na obronie merytorycznej. Nienawistne ataki na grupę „Prosto z Mostu”, zestawione z pobłażliwością, a nawet pewną czołobitnością wobec „tamtych”, nie mogą zrobić dobrego wrażenia. Nie podejrzewam Łobodowskiego o żadne interesowne intencje, wierzę, że pisał swój artykuł w szczerem oburzeniu, powinien jednak być ostrożniejszy, zwłaszcza, gdy chce utrzymać się w pozycji obiektywizmu. Przecież to klika, która bądźco bądź jeszcze rządzi „na Parnasie” i dysponuje potężnymi środkami terroru, zarówno jak odpłaty za dogodnie dla niej „świadczenia” publicystyczne.

„PO TEJ STRONIE”

Broniąc obozu „Wiadomości”, Łobodowski przedstawia w czarnych barwach nacjonalizm polski, „nacjonalizm, który nie tylko Brauna wyniósł na fali swego przypływu”. Być może, że nie wiele dotąd „zmieniło się na lepsze”, być może, że nadal kryterjum „nasz — nie nasz” rozstrzyga, bo to słabostka ludzka i objaw, towarzyszący wszelkim zmaganiom się prądów. Przynajmniej jednak „po tej stronie” ludzie nie tłoczą się do żłobu, bo przy takim „żłobie” nie bardzo się można pożywić; niema tu dyktatury łóż, ani demoralizującej atmosfery subsydjów z pieniędzy publicznych. „Z tej strony” lu-

dzie jednak cierpią, narażają się, siedzą po turmach i Berezach, co nie każdy tak łatwo przetrzyma. Myślę, że jest w tem nawet spora doza heroizmu; niech Łobodowski sam spróbuje, to się przekona.

Nie będę też bronił prywatnego życia tuzów nacjonalistycznych, bo nie atakowałem go nigdy u strony przeciwnej. Piętnowałem głoszone zasady, a te są napewno etycznie czystsze i społecznie wartościowsze u Majdańskiego, niż u Boya i Krzywickiej *).

MÓJ OBÓZ?...

Łobodowskiemu trudno być obiektywnym, bo powoduje nim jakaś chorobliwa nienawiść do „dmowszczyzny“. Nie będę tu bronił Stronnictwa Narodowego, bo samo jest dość silne, by walczyć o swoje dobre imię. Zresztą, nie byłem nigdy „dmowszczykiem“, do problematyki politycznej współczesności polskiej doszedłem nie przez Dmowskiego, doznałem nawet krzywd z tamtej strony. Toteż, gdy Łobodowski mówi o „moim obozie“, uśmiecham się melancholijnie. Doniedawna byłem samotny i łupiono mi skórę ze wszystkich

*) Łobodowski woła, że „bojowy artykuł przeciw homoerotom“ ukazał się w „Prosto z Mostu“ dopiero wtedy, gdy już paru młodzieńców „wymigrowało gdzieś indziej“. Muszę stwierdzić, że to nieprawda. Red. Piasecki pierwszy i jedyny poparł przed kilku laty wystąpienie moje przeciw homoerotyzmowi w szkołach.

AUTOMOBILISTA, rutynowany fachowiec, 20 lat praktyki, w kraju i zagranicą (włada obcymi językami), przyjmie każdą pracę — w charakterze: szofera, monter, garażomistrza, kierownika stacji obsługi; bądź magazyniera, biuralisty lub sprzedawcy w przedsiębiorstwie samochodowym. Łaskawe zgłoszenie do Administracji „MERKURYUSZA“ pod: „Dobre referencje“ 42

stron. Do nacjonalizmu doszedłem poprzez Wrońskiego i filozofję polską XIX-go wieku, a to jest właśnie nacjonalizm o najszerszych horyzontach chrześcijańskich, o podstawie uniwersalnej. Łobodowski wie o tem, ale przemilcza ten temat wstydliwie. I to jest 3-ci mankament moralny jego artykułu **).

SAM SZEDŁEM

Skoro nie byłem w Stronnictwie, to i w „rozłamach“ udziału nie brałem. Oenerowcem tedy nie jestem. Niech sobie Łobodowski przejrzy spis ludzi, których do współpracy *zaprosiła* — jako nacjonalistów — „Wielka Polska“; znajdzie tam Goetla i Bączkowskiego, ale nie znajdzie mojego nazwiska. Zaden więc przypływ nie wyniósł mnie na fali. Tu, gdzie jestem, *doszedłem sam*, własną myślą i pracą, w oparciu o Wrońskiego. Proszę więc nie obarczać mnie odpowiedzialnością za winy innych, ani mnie nie przyszywać do zasług innych, bo *ja się w cudze piórka nie lubię stroić*.

Mówiąc o elementach zwyczajności w obecnej rzeczywistości polskiej, mam na myśli to tylko, co w nią sam włożyłem. A śmiem twierdzić, że włożyłem idee i wartości pozytywne, śleczki myślowej nie cierpiałem, problemy przeorywałem aż do dna.

**) O Wrońskim ma Łob. tylko tyle do powiedzenia, że „podczas gdy w powstaniach lała się polska krew, wielki myśliciel uważał za wskazane wchodzić w kontakty z rządem rosyjskim“. Jest to demagogiczne rozminięcie się z prawdą. Wroński bił się w powstaniu kościuszkowskim i był w Legionach. W r. 1831 miał już szósty krzyżyk. Do cara zwracał się z filozoficznym apelem znacznie później, ostrzegając go przytem przed „zniszczeniem narodowości polskiej“. Pisał zresztą do cara i Mickiewicz, a nikt mu tego nie wypomina,

KOMU SIĘ PRZYWIDUJE?

Pisałem wyraźnie, że występuje w imieniu tego nacjonalizmu, który dopiero jest in statu nascendi, jeśli chcemy o nim mówić w przekroju społeczno-politycznym. Jest to fakt, że idee i prawdy, głoszone w „Zecie“, stały się w znacznej mierze własnością młodego pokolenia. Nie poznaję siebie jednak w tym wizerunku polskiego nacjonalizmu, jaki maluje Łobodowski. „Z historycznymi tradycjami w kolizję“ nie wchodzę, przeciwnie, nawracam do nich, „materjalizmem przeżarty“ nie jestem, nie wiem też, dlaczego „ukrainofobję“ widzi we mnie Łobodowski, a nie widzą jej przedstawiciele samego narodu ukraińskiego.

Tłumy mi się „za plecami“ nie „przywidują“, bom partji politycznej robić nie chciał nigdy. To raczej Łobodowski powołuje się na te wymaginowane „tłumy“. I to jest 4-ty mankament jego wystąpienia.

„GŁOS LUDU...“

Zawsze mnie to gniewa, gdy czytalam przeróżne manifesty w imieniu „ludu“. Ludem, jego krzywdą i jego gniewem zasłania się najchętniej każda uroczysta frazeologia. „Lud!“ — wołały łoże w czasie rewolucji francuskiej — gdy inscenizowały komedję zburzenia Bastylji, gdy żarły się o krwawy ochłap władzy, gdy likwidowały się wzajemnie przy pomocy gilotyny; te same łoże, które jednocześnie stanowiły sam rdzeń „rozpustnego i rozrzutnego Wersalu“ (exemplum: Filip Egalité!). W imię „ludu“ rządziły w Rosji czerezwyczałki, aż doszło do nowego carstwa papy Stalina.

Najłatwiej jest udawać „głos lu-

du“. — Was dzieli od ludu przepaść, a tam właśnie, na polskiej wsi, rośnie prawdziwy nacjonalizm. W imieniu tego ludu ja, Łobodowski, odmawiam Braunowi mandatu moralnego etc. Oto jest ten „trzeci front“, podstawa „objektywizmu“ Łobodowskiego, który wywikłał się rzekomo z antynomji społecznych i cywilizacyjnych, i arbitruje bezstronnie między nacjonalizmem polskim i internacjonalizmem żydowskim.

TO MGLAWICA

Sam chciałbym, by w ludzie więkskim kiełkowały te ideały chrześcijańskiego uniwersalizmu, o jakich pisze Łobodowski. Wierzę też w siły moralne i żywotność biologiczną wsi polskiej. Niestety, jednak lud nasz nie sformułował sobie swego ideowego Credo. To jeszcze mgławica. Przeszłość to demagogja i frazes, wskrzeszone przywary partyjnictwa szlacheckiego. Drugi etap powojenny, to żerowisko łóz i różnych mafji naprawiaczkich czy innych — plus walka o interesy klasowe. Wiele lewicowych komunałów, mętna mistyka ziemi w ruchu młodowiejskim, też zresztą zaczerpnięta pośrednio z pseudofilozoficznych majaceń masonskich.

Pozytywne objawy, jakie się na wsi krystalizują, to patriotyzm, słowianizm, chrystjanizm. Ale to dopiero miejsce na prawdziwy mesjanizm polski, łączący ideał wolności jednostki z zasadami etyki chrześcijańskiej. Być może, że tu jest właśnie potencjalna baza rodzącego się nacjonalizmu, ale to sprawa przyszłości.

Z JAKIEGO TYTUŁU?

Kto jak kto, ale Łobodowski nie ma tytułu do przemawiania w i-

mieniu tego szukającego dróg ideowych „ludu“, w imieniu wsi polskiej. Bardziej mu do twarzy uganiać gdzieś na nieokulbaczoym koniu po eurazyjskim stepie, niż stroić się w kierezje krakowskie czy łowickie pasiaki. Nie czynię mu z tego zarzutu, bo nikt nie odpowiada za to, gdzie się urodził czy spędził młodość. Tam bałagała stepowy, tu dziecko lubelskiej knajpy, gdzież miał okazję Łobodowski zawrzeć bliższą znajomość z polskim ludem?

ODMAWIAM MANDATU

Odmawiam tedy, acz z przykrością, Łobodowskiemu mandatu moralnego do reprezentowania — przeciwko mnie i nam — jakiegoś mitycznego, prawdziwego nacjonalizmu, nie dlatego, że przemówił z łamów pisma obcego kulturze polskiej i cynicznie pasorzytującego na haselkach rozkładowych, lecz dlatego, że porywając się na dyskredytowanie idei i metod polskiego nacjonalizmu, sam nie reprezentuje żadnej zasady twórczej, żadnego systemu pojęć, żadnego określonego poglądu na świat.

Jerzy Braun

P. S. Pozwolą Szanowni Czytelnicy, że nadużyję Ich cierpliwości jeszcze kilkoma uwagami à propos artykułu p. Łobodowskiego, będą się jednak starał uczynić ten temat jak najbardziej interesującym. Zrobię wszystko, co jest w ludzkiej mocy, aby osiągnąć ten cel; trudny, to prawda, dlatego jednak frapujący. Pozatem żywię cichą nadzieję, że może moje napomnienia sprowadzą p. Łobodowskiego ze złej drogi, na której się znalazł ten młody człowiek. Okazuje on wprawdzie od najwcześ-

niejszych lat smutne skłonności do przebywania w złem towarzystwie, wszelako miał także momenty lepszych odruchów, odwiedził mnie bowiem kiedyś w MERKURYUSZU. (Rozumiem to, jako ówczesną chęć wyrwania się z deprawującego środowiska; być może jednak, że we wrodzonej mi zarozumiałości myślę się, a wizyta p. Łobodowskiego podyktowana była prostą ciekawością. Lecz nawet i z tej strony rzecz biorąc, był to czyn wysoce chwalebny, ciekawość bowiem do dobrego towarzystwa znamionuje charakter szlachetny i wzniosły sposób myślenia).

Przechodząc ad rem: jeśli wtrącam się do tej sprawy, to tylko dlatego, że najświeższy panegirysta „Wiadomości Literackich“ popełnił kilka omyłek w stosunku do MERKURYUSZA. Jestem najgłębiej przeświadczony, iż padł ofiarą fałszywych informacji, nigdybym bowiem nie uwierzył, nawet, gdyby mi to kto mówił, że tak dobrze zapowiadający się publicysta może świadomie mijać się z prawdą.

O JOSEPHA CONRADA

Mianowicie, mówiąc o MERKURYUSZU, wyraża się tak złośliwie: „Pismo, które zaczęło swoją karierę od brukowego ataku na jednego z największych humanistów piśmiennictwa europejskiego, Josepha Conrada...“ Złośliwość iście mordercza, od której organizm demoliberalny niewątpliwie padłby trupem na miejscu. Jeśli ją wytrzymujemy, to tylko zawdzięczając przysłowiowej odporności faszynowców, pachołków wojującego nacjonalizmu, sługusów reakcji i żandarmów kontr-rewolucji.

Złośliwość tego wyrażenia pole-

ga na tem, iż zawiera ono termin „karjera“, co w stosunku do ludzi, którzy nie potrzebują kariery, jest zawsze strzałem z Grubej Merty. No, mój Boże, zapewne, że MERKURYUSZ byłby dla tego i owego wielką karierą, tedy termin sam w sobie zrozumieć można, ale znowuż dla innego i owego karierą nie jest, przeto zawsze, jakby nie było, złośliwość ciężka i o zacięciu literackim obiecującego młodzieńca świadczy nader pochlebnie.

Ale myli się p. Łobodowski. Ów atak wcale nie był wymierzony przeciwko Conradowi. Cokolwiekby bowiem można o MERKURYUSZU powiedzieć, jednego mu odmówić nie można: zdrowego sensu, czyli braku piątej klepki. Tedy, jako posiadającym klepki w należytej ilości, ani nam się śniło zaczepiać Conrada, a przeciwnie, od samego początku do samego końca owej sprawy zawsześmy traktowali Josepha Conrada tak, jak na to zasługuje, czego wyrazem był choćby ten drobny szczegół, że pisaliśmy o Conradzie zawsze per „największy prozaik literatury angielskiej... jeden z największych magnatów literatury światowej...“ i t. d.

Atak był wymierzony zgoła przeciwko komu innemu. A mianowicie przeciwko tym recenzentom warszawskim bez ambicji, którzy, zgoła w stylu ubogich krewnych, łapią za poję magnata literatury angielskiej i gwałtem, siłą, nahalnie, wbrew oczywistej prawdzie i samemu Josephowi Conradowi, ciągną go do literatury polskiej. Na wszystkie sposoby, fasony, manery, rodzaje ciągle wypisują żenujące polaka elukubraty. A to „O polskości Conrada“, a to „O pol-

skiej psychice typów Conradowskich“, a to „Nie Joseph Conrad, lecz Korzeniowski“ i t. d. i t. d. aż do młodości.

SKOŃCZYĆ Z TEM

Nasze stanowisko było jasne i proste: skończyć z tem ubliżającym polakom błazeńskim widowiskiem. Porzucił Conrad Polskę raz na zawsze? Pisał po angielsku? Zmienił nazwisko? Nie uczył ani żony, ani dzieci słowa po polsku? W porządku. Jego sprawa. Ani myślę wnikać w motywy wielkich ludzi, zmieniających narodowość, ani myślę krytykować. Wielkość ma swoje, inne prawa. Ale również ani myślę patrzeć spokojnie na ten wstyd budzący spektakl, jak różne recenzyciny usiłują z powrotem przyszyć do literatury polskiej pisarza, należącego, jako żywo, do literatury angielskiej.

Kubek w kubek, jak ongi na bankiecie u magnata. Chudopachołki czepiają się klamki pańskiej, uśmiechają się oblesnie i łaszą się, i w oczy patrzą, i przymilają, i przypominają prozapje: „przecież my jesteśmy skuzynowani z księciem panem! Przecież babka księcia pana, jaśnie oświecona Cecylja Renata Przytykołęcka była primo voto za Symforjanem Bzyk-Brzęczyńskim, a stryj mojego dziadka Pikutkowski z Pikutkowa, ożenił się właśnie z rodzoną siostrą owego Symforjana, Rozalją Bzyk-Brzęczyńską“.

Nic ich to nie przejmuje, że książkę literatury angielskiej sam się tych związków wyrzekł. Jakiś widać specjalny mają smak w gębie, że ich nie dławia to przypomnienie, jakies podniebienie dziwne-

go nabożeństwa. Strawne żołądki.
Miętkie

ALE MY TEGO MAMY DOŚĆ

Ale większość Polaków, a raczej prawdziwi Polacy, mają tego dość i krew ich zalewa na ten widok i kończą tę zabawę bezapelacyjnie: Conrad jest pisarzem angielskim, koniec, punctum. Niema o czem gadać. Niech sobie Anglicy piszą rozprawy „o polskości Conrada”. Dla nas ta sprawa nie istnieje, a dla Polaka, który ten temat tknie, będziemy mieli tylko jedną odpowiedź: „Cicho, błaznie!”

Takie było stanowisko MERKURYUSZA. Najzupełniej zgodne ze stanowiskiem całej opinii, o czem świadczyły setki listów, które napłynęły wówczas do redakcji, listów, całkowicie aprobowujących.

Orzeszkowa również była tego samego zdania, atakując zresztą ostro Conrada za to, że się wyrzekł polskości. Mojem zdaniem niesłusznie, bo co komu do tego? Jeśli Coaradowi bardziej pachniała literatura angielska, niż polska, to Bóg z nim. Conrad wielki pisarz, to prawda, ale jeszcze, chwała Bogu, literatura polska bez niego nie zbankrutuje. Możemy zrobić zeń prezent Anglikom, nie nadwerężając szkatuły.

I Żeromskiego krew zalewała na tych recenzentów, „którzy próbują akaparować Conrada do literatury polskiej”.

Słowem każdy, kto szczerze po polsku czuje, a gnata w karku natura mu nie poskąpiła, każdy na pochodzenie Josepha Conrada ręką macha, wcale o tem pamiętać nie chce, a tem mniej rozprawy pisać.

Taki był „atak” MERKURYU-

SZA. Nie na Conrada, a na błaznów literackich, recenzentów o psychice ubogich krewnych, do magnata literatury światowej się zalecających, nie Polaków, a Polaczyszków bez gnata w karku i smaku w gębie.

CZEMU?

Czemu więc ostatni panegirysta „Wiadomości Literackich” tak nieprzyjemnie przedstawił tę — chyba słuszną? — sprawę? Jak sądzę, musiano go wprowadzić w błąd. Jestem przekonany, że rozminął się z prawdą i to tak radykalnie, o 180 stopni, całkiem nieświadomie. Przypuszczalnie musiało być tak: przy omawianiu sprawy, t. j. napisania artykułu na Brauna, redaktor „Wiadomości”, poruszywszy wszystkie szczegóły, zazwyczaj poruszane przy zamawianiu artykułu, zakończył:

— No więc, siadaj pan do maszyny, panie Eł i rypaj pan ten artykuł. Ale, ale! Nie zapomnij pan dojechać przy tej okazji samemu MERKURYUSZOWI.

— Postaram się, panie redaktorze. Tylko, jakby pan sobie życzył?

— No więc, naturalnie, wspomnij pan o tych wyrokach, bo teraz, rozumiesz pan, trzeba to dyskutować, no i jeszcze coś pan tam wymyśl. Zaraz! Coby tu? Antysemityzm... to już było... Zresztą, oni ciągle się z nas naśmiewają z tym judeocentryzmem... że to niby, o czembyśmy nie pisali, zawsze wniosek ten sam: że antysemityzm to hańba XX wieku... więc lepiej, nie ruszaj pan tego tematu, chyba tak między wierszami, na marginesie, okolicznie... Zaraz, czekaj pan... Coby tu?... No, walaj pan z tym Conradem.

— Co z Conradem?

— A no, ten ich atak na Conrada, że niby od tego zaczęli swoją karierę.

— Hm... widzi pan, panie redaktorze, ja nie czytałem tego artykułu...

— Nie szkodzi. Możesz pan wspomnieć tak pokrótce.

— Ale... bałbym się coś tak lapnąć... zawsze to niepoważnie...

— Walaj pan, ja panu mówię. Coprawda nie pamiętam, co tam pisali, ale w każdym razie to był atak na Conrada. Więc rypaj pan. Na moją odpowiedzialność.

Założę się, że tak musiało być. Redaktor „Wiadomości” nie pamiętał, w najlepszej wierze poplątał, obiecujący p. Łobodowski polegał na informatorze i wyszła dyszkiepcja, jak powiadają na Litwie.

Nie ze złej woli, boć to przecież wszystko dżentelmeni, ale tak: nie chcący.

J. B.

W ostrych rozwolnieniach i biegunkach stosuje się środek roślinny *Mutabor-Rawski*. Skład główny: Apteka mag. J. Rawskiego, Warszawa, Marjańska 12, róg Twardej. 43/a

Okruchy tygodnia

Tydzień ubiegły minął bez większych zmartwień: w Gdańsku wojna ochotniczego jeszcze nie sformowano, wojna nie wybuchła, żadna nowa łódź podwodna nie zatonała, traktatu Londyn — Moskwa nie podpisano.

A, przepraszam, mieliśmy jedno zmartwienie: z drobnymi. Żydy w tem zdenerwowaniu, nie wiedząc, co robią, zaczęli nagłe chować sre-

bro. Dziwny naród. W ważniejszych momentach historycznych zawsze tracą głowę. W czasie pożyczki lotniczej chodzili, jak błędni i zupełnie zapomnieli o tem, żeby iść do kas subskrypcyjnych. Podczas Zaolzia zupełnie machinalnie zaczęli wycofywać wkłady z banków i dopiero, kiedy im szoferzy przed PKO podsunęli myśl, że to przecież może wprawić w kłopot życie gospodarcze kraju, jakoś się opamiętali i czempredziej wpłacili gotówkę z powrotem. Teraz znowu chowają drobne.

CO MOŻE ZDENERWOWANIE

Wiem, co może zdenerwowanie. Widziałem raz w sądzie grodzkim. Stawał przed kratkami młody człowiek, oskarżony o to, że wyciągnął komuś zegarek w Saskim Ogrodzie, podczas jakiegoś nieporozumienia politycznego. Po całym parku biegali studenci, mający jakiś pilny interes do sfer handlowych, a znowu sfery handlowe tak się gdzieś śpieszyły, że w żaden sposób nie chciały o tym interesie słuchać, wskutek czego między drzewami powstała powszechna bieganina.

Sędzia też był młody, co było widać po sposobie zadawania pytań. Wypytywał oskarżonego o wszystko, wreszcie spytał, w jakim celu wyciągnął ów zegarek z kieszeni świadka. Pytanie było logiczne, gdyż młodzieniec mógł wyciągnąć zegarek dla zabawy, albo zobaczenia, która godzina, albo w jakimś jeszcze innym celu.

Oskarżony po chwili namysłu odpowiedział:

— Zdenerwowałem się, panie sędzio. Po ogrodzie tak wszyscy łatali, że zupełnie straciłem głowę.

KORONA DLA HITLERA

Niemcy argentyńscy zebrali 31 tysięcy pesów, za które zakupili dla Hitlera złotą koronę, wysadzaną bogato kamieniami, w kształcie dawnej korony lombardzkiej.

Jest to dar z gatunku niebezpiecznych. W tym stanie nerwów, w którym znajduje się obecnie Führer, jeszcze jeden „propos“ do świętego cesarstwa rzymskiego, zwłaszcza tego rodzaju, może się okazać kroplą, przepełniającą czarę.

Zamiast podjąć istotną myśl świętego cesarstwa rzymskiego: ideję ekspansji na południe, na morza, na świat — Hitler tka palce na wschód, co się może skończyć tylko jednym: oparzeniem. Zamiast iść śladem polityki cesarzy rzymskich, naśladuje tylko ich pozę.

Kto wie, czy dar argentyński nie wykończy Hitlera do reszty.

NIEAKTUALNIE

Ponieważ niema tematów aktualnych, sięgnijmy do nieaktualnych. A właściwie inaczej: poszukajmy aktualności w historii.

Przypadkowo wpadły mi w rękę jednocześnie dwa druki. Książka p. t. „Napoleon i jego marszałkowie“ oraz ostatni zeszyt „Tęczy“.

W pierwszej, w życiorysie Kellermana, dziwnego wodza, który, prócz „zwycięstwa“ pod Valmy, nie wygrał ani jednej bitwy, autor (A. G. Macdonell) pisze:

Kellermann był czwartym ze starych republikańskich marszałków. Urodził się w 1735 roku w Strassburgu, w dobrej rodzinie kupieckiej. W 1753 roku otrzymał nominację na chorążego w pułku Royal Bavière i brał później udział w wojnie siedmioletniej. Został mianowany marszałkiem, ponieważ dowodził francuskimi wojskami w najbliższej i jednocześnie naj-

ważniejszej, najmniejszej i jednocześnie największej z bitew, które zmieniły losy świata. Jako bitwa, kanonada pod Valmy zakrawała na kpiny, jako zdarzenie, mało miała sobie równych. Dumouriez, doskonale jenerał, który później przeszedł na stronę nieprzyjaciela, był naczelnym wodzem republikańskiej zbieraniny. Wyćwiczone wojska pruskie, spuścizna po straszonym Fryderyku, waliły się na Francję, jak potężna żelazna maszyna. Obok nich maszerowali ich austrjacy sojusznicy. Jedynym ratunkiem dla Dumouriez'a było zagrozić im drogę przez obsadzenie przejść w lesistych wzgórzach Argońskich. Dumouriez pośpiesznie ewakuował dwa przejścia i z niewiarogodną wprost odwagą obrał stanowisko pod młynem Valmy, zwrócony tyłem ku Argonnom i niemcom, przodem zaś w stronę Paryża. „Sądzę — mówił Napoleon w wiele lat później — że ja, chociaż byłem najśmielszy ze wszystkich wodzów, nie ośmieliłbym się zająć tego stanowiska“.

Żelazna maszyna niemiecka przewaliła się przez błoto ewakuowanych przez francuzów przejść, okrążyła małą armję i 20 września uderzyła na Valmy. Kellermann dowodził wojskami na wzgórzu, Dumouriez — rezerwą za wzgórzem. Przez szereg godzin artylerja pruska grzmiała na bojaźliwych sankiulotów, artylerja republikańska odpowiadała jej i, ku zdumieniu obydwu stron, sankiuloci byli niewzruszeni. Wreszcie pruski jenerał sądząc, że nastąpiła odpowiednia chwila, wypuścił na francuzów maszynę Fryderyka — linję pruskiej piechoty — aby sforsować wzgórze, na którym stał młyn Valmy. Powoli, miarowym krokiem, piechota pruska zesłała w dolinę i... nagle coś popsulo się w maszynie. Czy maszynierja została zatkana błotem, czy też naczelný wódz stracił głowę, dość, że atakująca linja zachwiała się, stanęła, wreszcie zawróciła i z godnością oraz precyzją pomaszzerowała z powrotem. Bitwa była skończona. Następnego dnia nieprzyjaciel zarządził odwrót... Naród francuski zrozumiał wtedy, że cała Europa stoi przed nim otworem i wojna, rozpoczęta dla ocalenia monarchji, stała się wojną o rozszerzenie republiki. Podwaliny republiki zostały założone w Paryżu, utrwalone zaś pod Valmy.

Ano, jak widzimy z opisu historyka, jeszcze jedna zagadka dziejów. Najważniejsza z bitew republiki wygrana jakimś niezrozumiałym „cudem“. Ano, cóż? Albo cuda przychodzą na zawołanie, albo... historycy mają zwyczaj... pomijać pewne drobne, takie sobie mało ważne szczegółiki z za kulis...

Czytajmy dalej. W ostatnim zeszycie „Tęczy“ pewien historyk

polski, mający zwyczaj właśnie poruszać niedyskretnie szczegółiki dyskrétne (no, nie mówię przecież, że dlatego właśnie do dziś nie ma katedry), mianowicie K. M. Morawski, wywleka takie oto źródółko, tekścik, świadectwo Ludendorfa, który w jednej ze swych „mów do narodu niemieckiego“ woła:

Czyśmy się nauczyli czegokolwiek ze zdrady pod Valmy w dniu 21 września 1792 roku? Tu wszakże książę-wolnomularz Karol-Wilhelm Ferdynand Brunświcki, bez przeszkody ze strony „wtajemniczonego“ po uszy króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II, oraz wysokich stopni illuminata Karola Augusta sasko-wejmarskiego*), skłonił sprzymierzone wojska do rejterady przed paczką sankiulotów „brata“ — jenerała Dumourieza — wszystko to zaś, aby dopomóc do zwycięstwa rewolucji wolnomularskiej w Paryżu...

Tak, tak. Historia ostatnich dwustu lat Europy czeka jeszcze na napisanie, jak powiedziała Neta Webster.

J. B.

Z WŁASNYCH WINNIC

Wino z własnych winnic w Tokaj - Hegyalja poleca Lippóczy, Tarnów.

12/p

*) Mecenasa Goethego (także masona), który był wraz z księciem pod Valmy i wtajemniczony w istotny sens bitwy, napisał, że od niej „zaczął się nowy rozdział w dziejach świata“.

Przegląd prasy



Warszawa, 6 lipca

Jeszcze raz w latach 1638 — 1639 Sobieski, ten ostatni polityk polski na tronie, wracał do koncepcji odzyskania Prus Wschodnich. I znów resztki opozycji brandenburskiej ślały swe żale do Warszawy, i znów w tej Warszawie odzywały się głosy za „reaneksją“ utraconego a tak z Polską związanego obszaru. Ale warunki by-

ły już teraz zupełnie nie sprzyjające realizacji śmiałych tych planów. Przeciwnie Francji tworzył się blok całej prawie Europy, razem z niedawną naszą sojuszniczką Szwecją. Polska miała ręce zupełnie sprawą wojny tureckiej związane. Aktywne siły Rzeczypospolitej były coraz to bardziej tarciami wewnętrznymi osłabione. Możliwość śmiałych planowych posunięć była coraz mniejsza. Jeszcze tylko udział komisarzy polskich w holdzie stanów pruskich elektorowi, po raz ostatni w 1690 r., był ostatnim widomym znakiem łączności Prus Wschodnich z Polską i niewygastych praw polskich do tego tak bardzo ku Polsce ciężącego terytorjum.

(Z artykułu „O prawie Polski do Prus wschodnich“, napisał J. R.).

NAROD W WALCE

Warszawa, 9 lipca

Na czoło zagadnienia wysuwa się kwestja naszej granicy północnej, kwestja Gdańska i Prus Wschodnich.

Jeśli chodzi o Gdańsk, to sprawa jest jasna. Gdańsk był miastem polskiem i musi nim być w przyszłości, jako integralna część naszego państwa. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości ani u nas w kraju, ani nawet zagranicą (z wyjątkiem Niemiec).

Natomiast kwestja Prus Wschodnich nie została dotąd jeszcze realnie rozpatrzona.

Roman Dmowski w swym memorjale, wydrukowanym w 1917 roku i noszącym tytuł „Problems of Central and Eastern Europe“, odnośnie Prus Wschodnich projektował, by ich część południową, mającą ludność polską, przyłączyć do Polski, co zaś do północy, to:

„...ta niemiecka placówka, założona przez Zakon Krzyżacki w obcym kraju, musi wobec swego odosobnienia od Niemiec, być związana w przyszłości z państwem polskiem. Może ona być autonomiczną prowincją tego państwa, albo oddzielną małą republiką, związaną z Polską unją celną, co jedynie może zapewnić jej pomyślność ekonomiczną“.

Dmowski rozumiał, że jego projekt nie

rozwiąże całkowicie, raz na zawsze, kwestji Prus Wschodnich. Nie mógł jednak wysunąć propozycji maksymalnych. Nie istniało bowiem wówczas jeszcze niepodległe państwo polskie, wyposażone w armję i gotowe kilku milionami bagnetów rysować swoje granice. Dmowski był sam, a przeciwko sobie miał zorganizowaną koalicję nieprzyjaciół.

Propozycje Dmowskiego były i tak bardzo śmiałe. Bardziej wygórowane mogły tylko zaszkodzić sprawie polskiej i w grzyzy zaważyć gmach, z ogromnym trudem wznoszony — gmach niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza.

Dzisiaj jednak inna już jest sytuacja, niż lat temu dwadzieścia. Dzisiaj losy granic Polski będą się rozstrzygały nie przy zielonym stole, ale na polu bitwy. Dzisiaj mamy silne państwo, świetną armję, a co najważniejsze jesteśmy o dużym znaczeniu partnerem politycznym. I dlatego nasze żądania, dotyczące granic północnych, są inne, niż lat temu dwadzieścia. Są maksymalne, a zarazem jedyne, mogące raz na zawsze rozwiązać zagadnienie Prus Wschodnich.

Prusy Wschodnie są krajem o rzadkiem zaludnieniu (51 mieszkańców na km. kw.), słabo uprzemysłowionym. Ludność Prus Wschodnich jest pół na pół słowiańska i niemiecka (choć nam o ludność z pochodzenia rdzennie niemiecką).

Zato wskutek położenia geograficznego Prusy Wschodnie przedstawiają silnie obwarowany od południa bastion, który pozostawiony w obcych rękach, będzie zawsze zagrożać Polsce. I dlatego Prusy Wschodnie winny do nas należeć i to w całości, jako integralna część naszego państwa.

Powstaje teraz tylko problemat ludności niemieckiej. Tezy Dmowskiego, oparte na zasadzie etnograficznej, modnej w 1919 roku, wskazywały, że sprawa Niemców, mieszkających w Prusach Wschodnich, winna być rozstrzygnięta przez stworzenie autonomicznego obszaru dookoła Królewca, obejmującego północną część Prus Wschodnich, pod protektoratem Polski, lecz posiadającego autonomiczny samorząd niemiecki.

Dzisiaj możemy wysunąć inny projekt. Polska ma nadmiar ludności rolniczej, która przez długi jeszcze czas nie będzie mogła pomieścić się w miastach. Zresztą, będzie jej stale przybywało.

Ludność ta musi otrzymać ziemię właśnie w Prusach Wschodnich.

Hitleryzm przyjął zasadę, że ziemia należy do narodu, a nie do jednostek. Wobec tego, gdy naród straci ziemię, musi z niej wycofać swych przedstawicieli.

W myśl tej zasady, Niemcy będą musiały podpisać w traktacie pokojowym klauzulę, w której zgodzą się na oddanie Polsce terytorjum wschodnio-pruskiego, ale bez ludności niemieckiej.

Ta zaś będzie musiała wrócić do macierzy niemieckiej i zająć miejsce polskiej emigracji (stałej i sezonowej), która skolonizuje ziemie nadbałtyckie, tworząc potężny bastion polskości.

Cele te muszą być osiągalne. Trzeba bowiem raz na zawsze naprawić grzechy ubiegłych stuleci i militarnie, gospodarczo i politycznie umocnić naszą pozycję nad Bałtykiem.

(Z artykułu „Zagadnienie Prus Wschodnich“, napisał A. Ol.).

ВІСТНИК



Lwów, lipiec—sierpień

Jak wiadomo, na wojnie wielką rolę odgrywa transport, koleje żelazne i inne drogi komunikacyjne. Pod tym względem ZSRR stoi niżej wszelkiej krytyki. Wraz z Syberją i Dalekim Wschodem, sieć kolejowa ZSRR liczy 82.500 kilometrów. Ale w dobrym stanie znajduje się zaledwie 30.800 km. Reszta, czyli dwie trzecie, zupełnie zaniedbana. Ponadto cała sieć jest strasznie przeciążona. Szybkość pociągów sowieckich bardzo mizerna: dwadzieścia osiem km. dla osobowych, a 19 km. dla towarowych. Katastrofy nadzwyczaj częste: 62.000 w roku 1984. Opóźnienia — na porządku dziennym. Co do taboru, to na 630.000 wozów towarowych, 35.000 osobowych i 24.000 lokomotyw — w naprawie jest stale: 38 proc. towarowych, 53 proc. osobowych i 50 proc. lokomotyw. Inaczej mówiąc, ZSRR, z taborom dwakroć mniejszym niż we Francji czy Niemczech, musiałby stawić czoło zdwojonym (wskutek mobilizacji gospodarczej i woj-

skowej) wymaganiom doby wojennej.

...Na uroczystość koronacji Jerzego VI Sowiety posłały „najlepszy“ ze swych okrętów, mianowicie „Marata“ z szybkością... 10 węzłów; ale ten okręt poza granicami ZSRR już dawno uchodzi za „stary kalosz“. Podczas wojny hiszpańskiej całkowita niezdatność floty sowieckiej stała się oczywistą dla wszystkich. ZSRR nie mógł nawet obronić swych ładunków morskich, wysyłanych do Walencji i Alicante. W lutym b. r. Sowiety zamówiły pierwszy z serji swych kontrtorpedowców... we Włoszech. Już to samo doskonale ilustruje, jak sprawa rozbudowy marynarki wojennej stoi w ZSRR.

...Z taką flotą, z takimi kadrami, z takim przemysłem i z takim transportem, że już nie mówimy o armji — ZSRR napewno będzie siedział jak trusia w razie konfliktu europejskiego. Jeśli zaś będzie zmuszony wystąpić — to bez wątpienia ograniczy się do obrony własnej. „Ratować cywilizację europejską“, jak to robią sobie Edenowie i Torrësowie, stalinowcy zapewne nie pośpieszą. Zaczekają do piątego aktu dramatu.

(Z artykułu M. Ł. p. t. „Majak sowiecki a rzeczywistość“).

KUŹNICA

SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE

Katowice, 1—15 lipca

W jednym z ostatnich numerów poznańskiego tygodnika „Kultura“ zauważyliśmy szczególniejszego rodzaju humor. Na ostatniej stronie widzimy kilka obrazków, przedstawiających, jak to „prasa spędza wakacje“. Pierwszy z nich przedstawia redaktora „Merkuryusza“ Babińskiego, w celi więziennej, w ubraniu aresztanta. Napis pod obrazkiem głosi, że: „kto przypina ludziom łatki, ten opala się przez kratki“. Rysunek obok wyobraża grubego żyda z „Wiadomości Literackich“, łapiącego z niefrasobliwą miną rybki: — Tak spędzają wakacje redaktorzy „Wiadomości Literackich“.

Redakcja „Kultury“ nie wyczuwa widocznie, jak dalece niesmaczne jest podobne zestawienie w piśmie, firmującym się swoim katolicyzmem, jakim jest „Kultura“. Różnie można się zapatrywać na niektóre fragmenty walki, toczonej przez

Babińskiego, ale zaprzeczyć trudne, że ten człowiek walczy, i że walczy o te ideały religijne i narodowe, które reprezentuje podobne poznańska „Kultura“. Jeżeliby w ogniu walki nawet upadł, to należało by go traktować zupełnie inaczej, niż wygodni-siostwo moralizatorskie panów z „Kultury“, młłych i przyjemnie uśmiechniętych mędrków, którzy napewno pozostaną zawsze, we wszelkich okolicznościach pełni taktu, umiaru, nikogo nie zaczepią i żadnych nieprzyjemności z powodu działalności publicystycznej nie zazną.

Sprawa daltonizmu etycznego „Kultury“ ma jednak szersze aspekty. To w całej Polsce wytworzył się, a raczej istniał zawsze gatunek ludzi, którychby należało nazwać katolikami pasywnymi i defensywnymi. Są bardzo dbali o moralność swojego rodzaju. Wielcy akrupalaci nie mają żadnego pojęcia, jakich przemian dokonuje w człowieku walka. Nie oni też odrodzą w Polsce sumienia, nie oni wstrząsną prostym człowiekiem.

W obliczu przemian społecznych, o które się toczy walka, największym zmartwieniem ich jest, aby nikogo nie obrazić, aby dojrzeć każde źdźbło w oku bliźniego. Ten typ ludzi miał na myśli Słowacki, w swojej słynnej apostrofie Beniowskiego, kiedy zwracał się do Boga, mówiąc:

...On lubi huczny lot olbrzymich ptaków
I rozhukanych koni on nie kielza,
On — płórem z ognia jest wielkich

szyszaków,

Wielki czyn często go przebraga — nie tza
Próżno stoczona — przed kościoła progiem,
Przed nim upadam na twarz — on jest
Bogiem.

Gruby żyd z „Wiadomości Literackich“ łapie sobie na wakacjach rybki. „Kultura“ z pełną wdzięką wyrozumiałością przyklaskuje tej miłej sielance.

(Z rubryki „Przekroje“. Napisał Karol Zaykowski).

teczka.

Poznań, lipiec 1939

Identyfikowanie ideologii narodowej jako części z ruchem hitlerowskim, będącym tylko jednym wcieleniem i eksperymentem tej idei, jest po prostu błędem logicznym. Idea narodowa, tworząc wielkie,

zwycięskie rządy nacjonalistyczne, przeobraża ustroje i obyczaje, jest ideą konstruktywną, opartą na głębokim i wspaniałym dorobku intelektualnym. Jest ideą na wskroś nowoczesną, nawet w swoich znamienych nawrotach do przeszłości (korporacjonizm, „nowe średniowiecze“).

Ze wszystkich ruchów narodowych hitleryzm — trzeba to przyznać — jest najbardziej dynamiczny, ale też najmniej ma w sobie pierwiastków intelektualnych. Herman Rauschnig, emigrant, b. prezydent senatu gdańskiego, określa nie bez słuszności w swojej książce przewrót hitlerowski jako „rewolucję nihilizmu“. Doktryna hitlerowska — to w ogromnej mierze doktryna zwykłego gwałtu, wywodząca się ze spaczonyj teorii Darwina o przystosowaniu gatunków (prawo siły), z domieszką zwulgaryzowanego nietscheanizmu (nie litowanie się nad słabością).

Hitleryzm tem się różni od innych doktryn nacjonalistycznych, że zrywa z całą ustaloną przez wieki kultury chrześcijańskiej hierarchją wartości. Podstawą ruchów narodowych jest tradycjonalizm, tak wspaniale sformułowany w Dmowskiego „Myślach nowoczesnego Polaka“. Dla hitleryzmu nie istnieje tradycja jako prawda historyczna, jest tylko historia na usługach sztucznej doktryny. Ambicją ruchów narodowych jest zorganizowanie społeczeństwa na nowych zasadach, wyzwalających maksimum sił — ale w oparciu o mądrość, czerpaną z historycznych doświadczeń. Hitleryzm odrywa się od właściwej historii, produkuje historię sztuczną i dopasowaną do zagadnień dnia dzisiejszego, chce stworzyć nową epokę.

Nie zapominajmy wreszcie, że hitleryzm wyraża cechy indywidualne narodu niemieckiego. Nie jest winą idei narodowej, że cechy te są właśnie takie, bo są takie nie od dziś. Nie jest nawet winą hitleryzmu, że, jak to wyraził Kisielewski w swojej ostatniej książce: „Cechą naczelną, dominującą, charakteru narodu niemieckiego jest niepowstrzymana dążność do ekspansji, do zdobywania siłą cudzych wyników pracy“.

Nie było hitleryzmu za Henryka Lwa, nie było go za Fryderyka Wielkiego ani za Bismarcka. Obciążanie ideologii narodowej cechami narodu niemieckiego jest sprytną wolną...

(Z artykułu p. Feliksa Jordana p. t. „Niebezpieczni dyskonterzy“).

W natarciu

Warszawa, 9 lipca

Współczesna twórczość pisarska w Polsce ma jedną niezmiernie charakterystyczną i poważną lukę. Zdawałoby się, że naród rycerski, naród bojowy, naród, którego symbolem staje się żołnierz — znajdzie swój wyraz głęboki w twórczości literackiej. Dziś, gdy na wszystkie strony odmienia się słowo armja i żołnierz, gdy brzmieć ono zaczyna w ustach tych wszystkich, którym do niedawna było wstrętne i nienawistne — trzeba powiedzieć ostro i twardo: Nurt twórczości literackiej niepodległej Polski nie znalazł miejsca dla pojęcia: żołnierz, nie chciał tematu tego postawić i dać mu wyraz taki, jak tego wymaga wpływ i ważność żołnierskiego elementu w życiu Narodu.

Literatura Polski Niepodległej nie poszła po linii tęsknot i tendencji ideowych Narodu — młodego pokolenia. Poszła — wbrew im. Wynikiem tego jest rzeczywistość dzisiejsza, w której wydawcy w obliczu wojny, w atmosferze wojennej, nie mają co propagować, nie mają co polecać.

A u nas — „wiadomościowe mafje“ uważały pilnie, by jakakolwiek powieść nie zadźwięczała tym samym tonem żołnierskim, którym dziś dźwięczy serce każdego polaka. O wojnie nic, albo źle — oto dewiza mafji kulturalnych. Z trudem przez te zapory przebiła się jedyna żołnierska, doskonała powieść. Zato autor pacyfistycznego paszkwila na wojsko polskie („Żołnierz“) — Hirschhorn Ruñicki otrzymał państwowe stypendjum. A wtedy, gdy z trudem tworzyło się zbrojne ramie Narodu — armja, „Wiadomości Literackie“ drukowały wstrętny „Dzień rekruta“ Zb. Uniłowskiego.

Ale to się skończyć musi. Te czasy, w których wpływy na giełdzie literackiej zyskiwało się przez opluwanie żołnierza — te czasy nie wrócą. Wszelkie zapędy w tym kierunku spotkają się z naszą reakcją, tak silną i twardą, jak głęboka jest miłość i zrozumienie idei żołnierskiej w życiu Narodu.

(Z artykułu Kostrzewy „O wojnie nic, albo źle“).

MEY

Warszawa, 2 lipca

Japonja, gdzie władza państwowa cieszy się największym zrozumieniem i sympatją narodu, gdzie idea grupy rządzącej bliższa jest i zrozumialsza dla mas, mogła się zdecydować na natarcie, które w sposób nieoczekiwany przestoczyło się w długotrwałą wojnę.

Włochy, gdzie ludność, choć nie dąży do przywrócenia Imperium Romanum, pamięta jednak działania rządu, mające na widoku dobro kraju, jak np. choćby osuszenie błot pontyjskich, — mogły pójść na „małą wojnę“ w Abisynji czy Hiszpanji. Niemcy zaś, gdzie ludność nie tylko nie kwapi się urzeczywistniać planów Hitlera, ale nadto obciąża régime odpowiedzialnością za znoszone dziś cierpienia i prywatnie, zmuszone są cofać się, ilekroć napotkają na sprzeciw; exemplum maj 1938 i koniec marca 1939. A wreszcie Z. S. R. R., gdzie cały naród nienawidzi i władz i ożywiającej je idei, chcąc nie chcąc musi iść nawet na najśromotniejszą ustępstwa, byle uniknąć wojny.

(Z artykułu W. Branda p. t. „Wodzowie a masy“).

The New REPUBLIC

Nowy Jork, 21 czerwca

Cztery tysiące oficerów, podoficerów i szeregowców byłej armji czechosłowackiej oraz sześciu lotników na trzech bombowcach, uciekło do Polski poprzez granicę słowacką.

(Z kroniki redakcyjnej).

WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY

Warszawa, 7 lipca

Ubiegłej niedzieli ze wszystkich ambon na Śląsku Opolskim odczytano orędzie biskupa wrocławskiego, kard. Bertrama, zakazujące odprawiania nabożeństw polskich.

Kardynał Bertram zarządzenie swoje motywuje tem, że w parafjach, gdzie dopuszczono były kazania i śpiewy polskie, „zaburzenia i groźby przybrały tak na sile, iż spokój publiczny zostaje poważnie zagrożony i nie można myśleć o spokoju, podnoszącym na duchu podczas odprawiania nabożeństw“. Biskup wrocławski zawiesił nabożeństwa polskie jak gdyby wyłącznie ze względu „na powagę kultu, spokój gminy i położenie samych parafjan, mówiących po polsku“.

(Z artykułu „Polskie Ojczyzny Nasz“).

SAMOSTATNOST INDEPENDENCE A SLOVAK WEEKLY

McKeesport (Pensylwanja).
3 czerwca

Podczas gdy inne małe i najmniejsze państwa sąsiedzkie obawiają się napadów ze strony Hitlera, tiszowcy (zwolennicy ks. Tise — MERK.) leżą przed nim na brzuchu, brodę trzymając pokornie na podłodze i myśląc sobie, że zapomocą takiej pełnej uszanowania postawy najlepiej zabezpieczą tę swoją „niepodległość“. Pomijając już, że czolganie się na brzuchu przed partnerem nie bardzo podnosi tego, kto się, jak robaczek, czolga, tiszowcy w dodatku mocno przesadzają z ową „ogromną“ potęgą Niemiec. Jeszcze przecież nie doszło nawet do wojny — a do Polski już codzielnym w pełnym rynsztunku bojowym przechodzą całymi oddziałkami wojacy niemieccy, aby się zawczasu poddać. Nie chcą służyć nowopogańskiemu Hitlerowi, albo też widzą wyraźnie, iż pędzi on naród niemiecki do zupełnej zguby. „Dobra“ czy „najlepsza“ orientacja tiszowców zawodzi więc i pod tym względem. Z Niemiec dziś żołnierze niemieccy uciekają tak, jak w pierwszych dniach września i przez cały październik zeszłego roku uciekali żołnierze czescy do Niemiec, Polski i na Węgry. Na tym więc punkcie: na punkcie dobrego przygotowania ducha swych wojsk, Niemcy wojnę już zgóry przegrali. „Wielki Józef“ i „statysta“ dr Tise powinienby o tem wszystkim pomyśleć, zanim pocnie jeszcze uniżeniej pełzać na brzuchu i kłaść brodę na podłodze przed nowopoganinem Hitlerem, zwiastując, że ów rzekomy „żelazny blok 150 milionów ludzi“ nie jest wogóle żadnym żelaznym blokiem. Jest w nim — wiele dziur... a zresztą przecie nie ilość

decyduje, tylko jakość, a w tym względzie Polska stoi dzisiaj daleko wyżej od tego niemieckiego osławionego „bloku“, w który wierzy Tiso.

(Z notatki redakcyjnej).

KURIER BAŁTYCKI

Gdynia, 7 lipca

Związek Oficerów Rezerwy organizuje dziś punktualnie o godz. 18.45 w kinie „Gwiazda“ odczyt kapitana dypl. pilota magistra Władysława Polosińskiego pod tytułem „Żołnierz polski a żołnierz niemiecki“. To jest wspaniała, subtelna i głęboka analiza naszego żołnierza i żołnierza sąsiada, najbardziej nas interesującego.

Znam tekst tego odczytu.

To nawet trudno nazwać odczytem. To uczucie, po żołniersku, opowiedziana prawda. To prawda, która jest lepszą od linii Zygryda.

Wy tłumaczy ona wiele z tego, co się dzieje, i to, dlaczego wiele rzeczy nie dzieje się wogóle.

Niech wszyscy idą na odczyt i za te 50 groszy kupią nowy zapas spokoju i pewności.

(Z rubryki „Nie mówcie o tem“)

O F I A R Y :

Stan na dzień 11 lipca 1939 r.:

1) Na Mszę Włoczyistą za Królów Polskich (numer i pełna nazwa konta P. K. O., na które prosimy wpłacać bezpośrednio ofiary brzmi: Konto Nr. 1.030 MERKURYUSZ POLSKI, Rachunek funduszu na Mszę Włoczyistą za Królów Polskich).

Stan poprzedni	zł. 398.75
Szkola P. Kraw.-Biel. (Toruń)	„ 1.80
	398.55

2) Na pomnik ś. p. Romana Dmowskiego (numer i pełne brzmienie konta P. K. O., na które prosimy wpłacać ofiary bezpośrednio: „Konto P. K. O. Nr. 3270, MERKURYUSZ POLSKI, Rachunek funduszu na pomnik ś. p. Romana Dmowskiego“).

Stan obecny (bez wnień)	zł. 193.70
-------------------------	------------

3) Fundusz Im. ś. p. Regeza (numer i pełna nazwa konta P. K. O., na które prosimy wpłacać bezpośrednio ofiary brzmi: „Konto Nr. 3203, MERKURYUSZ POLSKI, Rachunek funduszu Im. ś. p. Regeza“).

Stan poprzedni	zł. 60.—
P. Tadeusz Bory (Lwów)	„ 5.—
	65.—

Na FON.	
P. Inż. A. M. (Toruń)	zł. 91.50
P. E. Boelen (Amsterdam)	„ 100.—
P. A. Kaller (Łódź)	„ 25.—
P. Ignacy Prętyna (Bydgoszcz)	„ 30.—
	248.50

P. Plut. Biczek Stanisław nadał na FON obciążając 3 proc. premijowej pożyczki inwestycyjnej na zł. 100.—

Książki nadeftane

Jan Gierzyński. **TAKI JEST HITLER.** Warszawa 1939. W-ctwo tygodnika „Przekrój“. 174 str. Cena 3 zł.

Książka niniejsza jest trafnie dokonaniem streszczeniem „Mein Kampf“. „Autobiografia A. Hitlera — pisze p. Gierzyński — była przez długie lata zagranicą książką nieznana... Dopiero kiedy się okazało, że Moja Walka nie jest fantazją, ale prawdziwym i serjo pomyślanym programem... dopiero wówczas poczęto się i zagranicą interesować autobiografią A. Hitlera. Wszelkie jednak starania o autoryzującą przekładu zawodziły. Niemcy nie życzą sobie, aby inne narody dowiedziały się, jaka przepaść wytworzyła się między nar.-socj. moralnością a prawem i etycznymi nakazami... Kto chce poznać myśli Hitlera, jego tok rozumowania, taktykę i metody postępowania, kto chce wiedzieć, co dla Hitlera jest cenne, a co pogardy godne, co wzniosłe, a co traktowane być powinno, wreszcie jaka była młodość i karjera A. Hitlera, ten znajdzie na te pytania odpowiedź właśnie w Mein Kampf. I stąd wyłonil się pomysł wydania w jęz. polskim książki p. t. Taki jest Hitler. Właśnie taki, jakim siebie sam opisuje. Sam, a nie inni“.

(c. j. k.)

DRUŻYNY BARTOSZOWE 1908 — 1914. Lwów Skł. Gł. W-ctwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1939. 419 str., 82 ryciny, mapa. Cena 8 zł.

Ta książka pamiątkowa jest uwiecznieniem ideałów, jakim służyły Drużyny Bartoszone w ciągu swego kilkuletniego istnienia w dawnej Galicji. Ruch ten, zrodzony z dążeń niepodległościowych, ogarnął znaczną część młodzieży wiejskiej i wpajał w dusze młodych przekonanie, że każdy polak winien poświęcić życie dla sprawy narodowej. Drogą do tego celu stała się zaprawa wojskowa. W czasie wielkiej wojny drużyniaczy dowiedli swej miłości Ojczyzny, walcząc na froncie. Dziś, w trzydziestolecie założenia Drużyn, komitet redakcyjny wydaje tę książkę pamiątkową w bardzo pięknej szacie zewnętrznej.

(c. j. k.)

Czytelnicy robia gazete

WSPOMNIENIE

Podczas czytania ostatniego numeru 30-go „Merkuryusza“ przypomniał mi się fakt z życia (mego) w Petersburgu.

Otóż do 4-tej Dumi wpłynęła interpelacja z powodu jakiejś sprawy, dotyczącej Ministerstwa Sprawiedliwości. Na posiedzeniu cały

gabinet rządu z ministrem Szczegółowitwym. Wechodzi na trybunę tylko co przybyły poseł z 84 l. i rekomenduje się: „Nazywam się Pokotilow, przez 30 lat pełniłem funkcje ministra kerygany, znam więc i administrację i sądownictwo, nie będę zatem mówił o interpelacji, a powiem tylko, że była kiedyś Temida z białą przepaską niewinności na oczach, lecz dziś przepaska ta opadła”.

Cała Duma zadrzała od okłasków, a Pokotilow zszedł z trybuny.

Boł. Bagłński (W-wa)

Czytelnicy zapytują

W SPRAWIE BISKUPINA

Otrzymałem niedawno od pewnego norwega, nauczyciela, którego poznałem we Włoszech, bardzo ładne zdjęcia fotograficzne najwspanialszych wykopalisk z epoki wikingów. Między innymi wozu czterokonnego, wspaniale rzeźbionego. Chciałbym się zrewanżować mojemu norwegowi przez wysłanie zdjęć z Biskupina, oczywiście ładnych, obejmujących też rekonstrukcję grodziska.

Zapytuję, gdzie można znaleźć takie fotografie czy też reprodukcje, i za jaką cenę?

Nauczyciel A. M.

JAKA JEST POLSKA?

Szanowna Redakcjo, piszemy ten list z Kowna, które było do niedawna odcięte, a obecnie jest coraz bliżej Polski. Możemy już korespondować z Polską, sprowadzać pisma i książki.

Po tyloletniem odcieciu, spragnieni Jej jesteśmy. Pytaliśmy ludzi, co przyjeżdżają teraz i przedtem. Opowiadają różnie, jedni z żalem, drudzy z podziwem i radością. Teraz ukazała się u nas „książka „Sztafeta” Wańkowicza, niestety bardzo droga w przeliczeniu na zdolność nabywczą tutejszej waluty. Jakże silnie, po przeczytaniu tej książki, zateskniliśmy do naszej Ojczyzny! Nie dlatego, że jest bogata, gdyż autor stale podkreśla polskie ubóstwo, ale dlatego, że tyle serc buduje Polskę jako wspólną sprawę.

Szanowna Redakcjo, odpowiedzcie nam, mieszczącymi poza granicami kraju, jaka naprawdę jest ta Polska? Czy taka, jak pisze p. Wańkowicz (przecie wiozł ogrom pracy i nie ukrywa usterek), czy też taka, jak ten i ów mówi, co sam widział, co odczuł nierzaz na własnej skórze. Nam tu, rozmawiającym o Polsce, usiłującym badać i dojść prawdy, wydaje się, że ostatnie miesiące dały odpowiedź, że Polska to nie „sezonizat” i przeszła wielką drogę. Chcielibyśmy mówić o tem z największą ilością rodaków, tych z Polski, coż kiedy przyjeżdżają rzadko. Może „Merkuryusz” nam napisze, jaka jest naprawdę ta Polska?

Anna i Jerzy M-cy
(Kowno)

Od redakcji: Krótka ocenę książki M. Wańkowicza „Sztafeta” zamieściliśmy przed kilku tygodniami w rubryce „Książki nadesłane”. Nie będziemy ukrywali, że ocena tej pięknie napisanej i wyjątkowo ładnie wydanej pracy jest trudna. Miejscami autor zaskakuje nas wizją wspaniale rozrastającej się Polski, to znów zmusza do rozmyślań nad pytaniami, na które odpowiedź niezawsze nam daje. Wańkowicz słusznie pisze, że już coraz więcej ludzi używa u nas najpiękniejszego słowa „my”. Rodkom z Litwy zapewne chodzi o stwierdzenie, jak daleko poszerzyło się zrozumienie Ojczyzny jako wspólnego dobra, opartego nie na wspominkach i na deklamacji, lecz na rzeczywistości stającej się codziennie.

My, warszawiacy, zamknęli w murach miasta, niewiele widzimy. Możeby naszym rodakom z Kowna odpowiedzieli ci, co stoja przy

warsztatach, które opisuje Wańkowicz, a więc przy rolnictwie, morskim, lotniczym, metalurgicznym, węglowym, naftowym, gazowym, elektryfikacyjnym, wydobywania rudy, regulacji rzek, bohaterowie Zsolzia, pionierzy COP-u, kresowcy, polscy marynarze i t. p. Jaka ich otacza atmosfera, czy czują się zadowoleni, czy też rozgorczyeni, czy im się praca spory, czy energia nie idzie na marne, czy są dumni z tego, że należą do polskiej spowolniającej, czy też niezaradkiej, brak rozsądku, nierzetelności narastają ich na cierpienia. Rozumiemy, że tak sformułowane pytania skłonią przede wszystkim do chwycenia za pióro mal-kontekstów, których nigdzie nie brak. Wiemy też, że ludzie, którzy pracują owocnie, najczęściej mileją. I do jednych i do drugich zwracają się rodacy z Litwy, chcą bowiem wiedzieć, jaka naprawdę jest Polska, jak się czujemy w Polsce i co o tej Polsce myślimy.

Czytelnicy odpowiadają

Do ankiety na temat „Bruderszaftu” proponuję formułę: „wypić Kumotra”. Trochę to, co prawda, pachnie ketyksa, lub jeśli ktoś jest bardziej złośliwy, pielużkami. Ale za to daje wyraz tendencji pozytywnej i stanowi propagandę obszarnictwa państwa na wesoło. Im więcej żołnierzyków, tem lepiej. Pozatem formułka ta zawiera wszystkie elementy skomplikowanego ceremoniału pijackiego. Jest esencjonalna w swej treści wewnętrznej, a jednocześnie lekka i do niezłego nieobowiązująca.

Któż jest większym pijakiem, niż kum, gdzie się z większą radością i „dowcipami” zalewa robaka, niż na chrzcinach i gdzie szukać większej swobodnej żażykości, jak nie między kumetrami? Formułka jest może trochę nie salonowa. Ale dziś jest i będzie jeszcze długo w modzie lud i jego zwycaje. Przytem formułka ta pachnie również starą, polską tradycją pijacką. Przypomina staropolskie dwory; tygodniowe ucsty, rzejmowanie kół od wasągów gości i t. d.

Tak mi się przynajmniej wydaje.

Dla kontrastu zaznaczam, że nie mam dzieci i zupełnie nie piję. Wątroba.

E. Tarnowski (Zduńska Wola)

P. S.: A może: wypijmy Bratniaka?

Panu Z. Pietrzykowi ze Śniatynia odpowiadam na projekt ankiety celem dobrania polskiego wyrazu, zastępującego burzowski „bruderszaft”.

Starzy polaacy, niestety nie wodę pijeli, ani też w pojedynkę, ale ochoczo, towarzysko, więc i wzorów w „pluderskich burzszszaf-tach” szukać nie potrzeba. Idźmy tedy ich śladem, nie tylko w „gęstem puharów krążeńiu”, lecz i w staropolskiej nomenklaturze pijackiej.

T. zw. „Bruderszaft”—braterstwo, pobratymstwo, przy kielichu sąwata, wola się po staropolsku „Kurdesz”; ogólnie zaś pobratymstwo, zbratanie, kurdeszowaniem.

Wyraz kurdesz zyskał obywatelstwo polskie wraz z buławą, buńczukiem, kordem, bułatem — uianem w pieśniach pomiędzy jednym i drugim „tanem z Tatory” Kardasz vel kierdasz, po tatarsku pobratymiec, stał też i sama uroczystość miała dawniej charakter obrzędu ry-cersko-tatarskiego — (łanie wody i miodu na szable i braterski pocałunek).

Kurdesz! Kurdesz! nad kurdeszami! to staropolska pieśń biesiadna, a do „obrzędu kurdeszowego” używano wielkiego puharu, też kurdeszem zwanego.

A więc tradycja swoje słowo „kurdesz” ma, piękniejszą, bo bliższą sercu niż słowo „bruderszaft”. To też proponuję, niech po staropolskim okrzyku: Kochajmy się! nastąpi „kurdesz” i kurdeszowanie do białego rana a nie „bruderszaft”. Projektuję i daję swą kreskę.

Andrzej Włodzimierz Staff (W-wa)

W dziale „Czytelnicy zapytują” znalazłem zapytanie P. W. Należca (Warszawa): gdzie można nabyć i za jaką cenę, względnie, gdzie można wypożyczyć „Herbarz Ukrainki” w opracowaniu Łukomskiego i Modzelewskiego, wydany w jęz. rosyjskim w Kijowie w r. 1914?

Spieszę zatem poinformować, że egzemplarz, bodajże jedyny w Polsce, wspomnianej pracy jest w posiadaniu P. majora dypl. rez. magistra praw A. Steblińskiego, obecnie starosty w Dziąldowie, oraz, że wiadomości zawarte w powyższej pracy zostały w całości uwzględnione w „Polskiej Encyklopedji Szlacheckiej” (12 tomów) w opracowaniu dr. fil. S. Starykoń-Kasprzyckiego i ks. Michała Dmowskiego, wydanej staraniem Instytutu Krzewienia Kultury Historycznej w Warszawie, w latach 1934 — 1939.

S. S. K. (W-wa)

Odpowiedzi redakcji

JWPan Dr. Tadeusz B-da (Kołomyja) — Przedewszystkiem życzymy powrotu do zupełnego zdrowia. Artykuł zamieścimy, dziękujemy serdecznie. Ciekawa uwagi w liście do redakcji nie będą, rzecz prosta, ogłoszone. Co do ostatniego ustępu, to gdyby Szanowny Pan Doktor wszystko widział i słyszał, nie byłby tak surowy dla naszych obrońców. Łączymy wyrazy głębokiego szacunku.

JWPan Bol. B-ski (W-wa) — Drukujemy z przyjemnością.

S. S. K. — Wiadomość cenna, p. W. N. będzie wdzięczny.

JWPani Zofja Skr-wska (Łódź) — Czy list mamy ogłosić? Prosimy o wskazówkę.

JWPani Anna Go-ska (Falenica) — Za bardzo miłe słowa dziękujemy Szanownej Pani. Co do podpisów, to litery odnoszą się do wszystkich poprzednich tekstów nie podpisanych (co wyjaśniamy stale, podając nazwiska autorów, na ostatniej stronie zeszytu). Sygnowanie każdej notatki, częstokroć krótkiej, zabrałoby nam dużo miejsca. O umieszczeniu znaków przed tekstem też myśleliśmy, robiliśmy nawet próby, które wypadły nie najlepiej. Jeszcze raz dziękując za list, prosimy o zwrócenie uwagi na wyjaśnienia z ostatniej strony zeszytu (nad warunkami prenumeraty).

JWPan Andrzej Włodzimierz St. (W-wa) — Rozprawkę, od której zrobiło nam się wesoło, zamieszczamy.

JWPan A. T-wski (Zduńska Wola) — An-

ADMINISTRACJA PRZYJMUJE PRENUMERATĘ TELEFONICZNIE: 9.12.32

kieta zapowiada się ciekawie. Bierz chętna brzękną szkiełkiem „pod kumotra”.

JWPaństwo Anna i Jerzy M-czy (Kowno) — List Szanownych Państwa, który nas szczerze wzruszył, zamieszczamy wraz z komentarzem.

Wielebny Ks. Wł. Kr-wski — Postaramy się zebrać wiadomości, choć to ciężka praca. Ew. może, ogłosimy o tem w MERKURYUSZU. Łączymy wyrazy poważania.

JWPan Ignacy J. Pr. (Bydgoszcz) — Potwierdzamy odbiór listu i 30 zł. na FON.

Ka-be — Uwagi ciekawe, postaramy się je wyzskać.

JWPan Tadeusz K-ski (Borzętno) — Cenny materiał otrzymaliśmy i dziękujemy. W tym zeszycie, niestety, niema już miejsca.

JWPan J. O. — Sylwetkę otrzymaliśmy, dziękujemy.

JWPan Bronisław Z. (Bydgoszcz) — Dajemy do Fraszek. Polecamy się dalszym względem Szanownego Pana.

JWPan Zbigniew Gr-wski (Mokotów) — Otrzymałmśmy, czytamy z ciekawością.

Fraszki

UMÓWMY SIĘ

Z artykułu wstępnego w „Robotniku” (11.VII):

To trzeba zrozumieć.

Dla Czechosłowaków istnieje dzisiaj pytanie hamletowskie: Być albo nie być...

Tak, tak, to trzeba zrozumieć, że nigdy nie było czechosłowaków, byli tylko słowacy i dzielni czesi.

DIALOG

Z odcinka powieściowego w kатовickiej „Polonji” (5.VII):

— Nigdy nie byłam modelką. Nie znam się na tym.

— Tym lepiej. Ja sam układam moje dziewczęta.

Do snu, czy też w pudełku?

Czyt.

WYDAWCY I REDAKTORZY: JULJAN BABIŃSKI i WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI

TEN ZESZYT OPRACOWALI: Julian Babiński (J. B.), Jerzy Braun (Br.), Czytelnicy (Czyt.), Czesław Jastrzębiec - Kozłowski (c. j. k.) i Władysław Zambrzycki (Z.). Podpis odnosi się do wszystkich poprzednich tekstów nie podpisanych.

PRENUMERATA: mies 1 zł 50 gr., kwart 4 zł 20 gr. półrocz. 7 zł 30 gr. Zagr. mies 2 zł 40 gr., kwart 6 zł 40 gr., półrocz 12 zł

OGŁOSZENIA: za miejsce wysokości 1 mm przez jedną szpaltę za tekstem 60 gr., w tekście 80 gr. Wszystkie kolumny są dwuszpaltowe. Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Wilcza 65, m. 1 Tel.: Red 8-64-65 Admin. 9-12-32 Konto P. K. O. 28.388, poczt. konto rozr. 503

ODDZIAŁ W POZNANIU: Ł. Ulatowski, Fredry 3, tel. 51-32

Godziny przyjęć: Administracji i Redakcji od 9-4 pp Redaktorzy przyjmują po uprzednim porozumieniu telefonicznym